W numerze: BOGDAN GRZELOŃSKI *Marciszewski gospodarzem Białego Domu?* ● KAROL BADZIAK *Leszek fatalny* ● ZBIGNIEW SKIBICKI *Kogo za to winić?* ● *Pogotowie czy „rejon na kółkach"?* ● *Recenzje* ● *Felietony* ● *Zewsząd o wszystkim* ● *Nowela kryminalna*

odgłosu

16 (752)
16. IV. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

Włókniarzom - wszelkiej pomyślności!

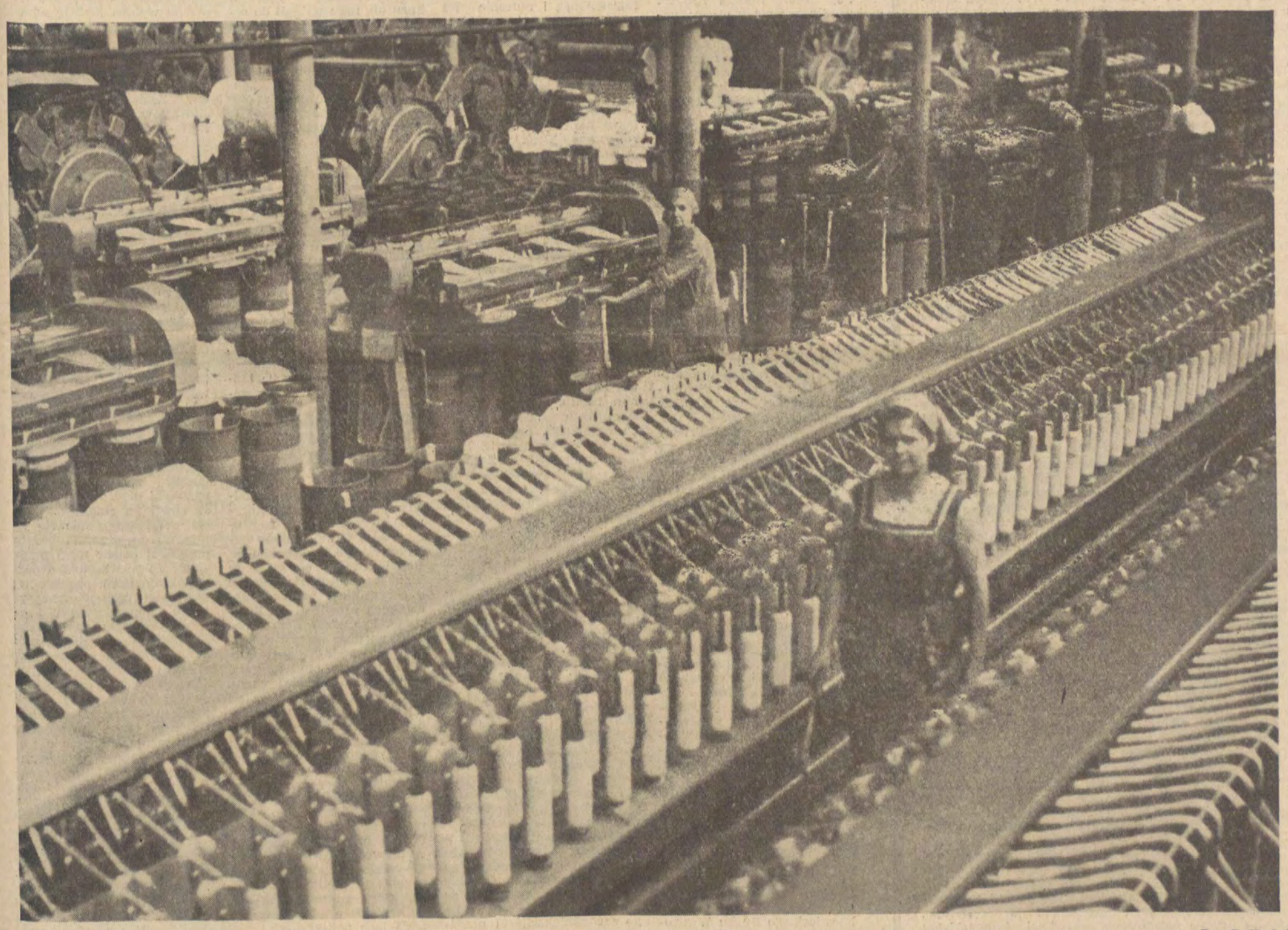

Fot. E. Kudaj

W DNIU WŁÓKNIARZA

Kultura nie tylko od święta

Rozmowa z kierownikiem Wydziału Kultury i Oświaty Zarządu Głównego Zw. Zaw. Prac. Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego — **KAROLEM GRABOWSKIM**

Wiele zakładów przemysłu lekkiego rozważa już dziś możliwości zwiększenia wolnego czasu pracowników. Niektóre zakłady widzą taką możliwość poprzez wprowadzenie zmian organizacyjnych, a także poprzez zwiększenie wydajności pracy i modernizację parku maszynowego. I już teraz trzeba myśleć o tym, w jaki sposób ludzie będą spędzali stale rosnący wolny czas.

— Czy w dotychczasowej działalności prowadzonej w placówkach kulturalnych przemysłu lekkiego istnieją już takie formy pracy, które można będzie rozwijać w nowych warunkach?

— Zacząłbym swoją odpowiedź na to pytanie od kilku danych. Wydaje mi się, że pozwoli to lepiej zrozumieć złożoność problemu, przed jakim stoją działacze kulturalni. Prowadzimy w całym kraju 187 placówek kulturalno-oświatowych, z czego 60 proc. to międzyzakładowe domy kultury, zakładowe domy kultury oraz kluby, a reszta to świetlice. 90 proc. tych placówek mieści się w budynkach adaptowanych z różnych pałacyków, albo i nawet hal produkcyjnych. Natomiast domów kultury, takich z prawdziwego zdarzenia, wybudowaliśmy do tej pory kilka. A więc nie są to najlepsze warunki, w których można należycie przygotowywać się do nowych obowiązków.

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Wietnam, który przez ostatnie tygodnie rzadko gościł na czołowych stronach gazet światowych, obecnie stał się głównym tematem dnia. Powodem jest ofensywa sił wyzwoleńczych, prowadzona na pięciu frontach, ale szczególnie: w prowincji Quang Tri, w rejonach Sajgonu oraz wzdłuż granicy wietnamsko-kambodżańskiej. Źródła sajgońskie przyznają, że sytuacja rozwija się bardzo niekorzystnie dla reżimu południowowietnamskiego i że siły wyzwoleńcze odnoszą pasmo sukcesów. — Celem tej ofensywy — mówił w ub. tygodniu Thieu — jest najprawdopodobniej utworzenie w północnych rejonach Wietnamu Południowego stolicy Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego, co ułatwiłoby żądanie powstania koalicyjnego gabinetu.

Tymczasem sens nowych działań ofensywnych jest prostszy: chodzi o wykazanie, że żadna „wietnamizacja" wojny nie ma szans powodzenia i nie może prowadzić do uregulowania konfliktu, że droga do tego prowadzi TYLKO przez wycofanie z Wietnamu Południowego WSZYSTKICH wojsk interwencyjnych. Zakłada to 7-punktowa propozycja TRRR i o jej realizację walczy naród wietnamski. Ciężar tej walki gotów jest on przenieść na płaszczyznę dyplomatyczną — negocjacje paryskie. Niestety, ciągle jeszcze to najbardziej właściwe forum dla pokojowego uregulowania problemu, możliwości tych nie otworzyło. Postęp rozmów blokują Stany Zjednoczone, które nie chcą zrezygnować z poparcia dla reżimu Thieu.

Na ofensywę sił wyzwoleńczych Waszyngton odpowiedział skierowaniem do Wietnamu większej liczby ciężkich bombowców. W sumie w Wietnamie znajduje się już ok. 600 samolotów bojowych USA.

Prasa amerykańska podkreśla iż nowa ofensywa będzie miała następstwa nie tylko militarne. Umacnia ona pozycję TRRR w rokowaniach paryskich, nasila ruch antywojenny w Stanach Zjednoczonych, wpływa na bieg kampanii przedwyborczej, a także w pewnym stopniu krzyżuje plany Nixona polepszenia stosunków z ChRL.

W wiosennej ofensywie sił wyzwoleńczych zwraca uwagę zmiana strategii walki. Obecne działania nie mają charakteru walki partyzanckiej, lecz regularnej, konwencjonalnej wojny. Zastanawia to i niepokoi przedstawicieli administracji amerykańskiej, świadczy bowiem o sile przeciwnika. Pisze na ten temat np. angielski „Financial Times": „Ofensywa ta będzie pamiętana jako jedno z najbardziej śmiałych przedsięwzięć podjętych przez wietnamskich komunistów w wojnie, pełnej odważnych akcji..."

Z Azji Południowo-Wschodniej przenieśmy się na Bliski Wschód. Wydarzeniem ostatnich dni w tym rejonie świata jest zdecydowane odrzucenie przez prez. Sadata planu Husajna i zerwanie przez Egipt stosunków dyplomatycznych z Jordanią.

W uzasadnieniu odrzucenia en bloc jordańskiej propozycji Sadat powiedział m. in. „Projekt, który nosi imię Husajna jest w istocie planem Allona, który ma na celu sabotowanie sprawy palestyńskiej... Naród Palestyny nie może być reprezentowany przez tych, którzy gotowi są zaoferować swój udział w przetargu. Jedyną legalną reprezentacją narodu palestyńskiego jest ruch oporu".

Na tym samym forum — inauguracyjnym posiedzeniu Palestyńskiego Kongresu Narodowego — gdzie przemawiał Sadat, zabrał także głos Arafat. Stwierdził on, że „palestyński ruch oporu będzie walczyć, aby ponownie znaleźć się w Jordanii i kontynuować wspólną walkę z narodem jordańskim". „Z pomocą narodu jordańskiego — zaakcentował — usuniemy z tego kraju wszystkich zdrajców i agentów, spiskujących w celu zniszczenia palestyńskiego ruchu oporu".

Przedmiotem komentarzy są jednak nie tyle wspomniane wystąpienia, ile fakt zerwania stosunków dyplomatycznych z Jordanią. Decyzja Sadata, zdaniem obserwatorów, zbliża Egipt do Libii i Syrii. Oba te państwa zerwały swe stosunki z Jordanią już w przeszłości: pierwsze we wrześniu 1970 r., drugie — w sierpniu 1971 r. Implikacje tego zbliżenia rozciągają się na Sudan, który to kraj, jako nieliczny spośród państw arabskich, wykazał zrozumienie dla planu Husajna. Inaczej mówiąc — przewidywana możliwość przystąpienia Sudanu do trójstronnej federacji państw arabskich znacznie się oddala. Jakie zaś skutki przyniesie to na froncie walki o likwidację następstw agresji Izraela — wykaże dopiero czas.

Z innych aktualiów międzynarodowej sceny wymienić trzeba:

Δ rozpoczęcie we Francji oficjalnej kampanii, poprzedzającej referendum. Za dwa tygodnie 30 milionów francuskich wyborców ma odpowiedzieć „tak" lub „nie" na pytanie: „Czy aprobuje pan (i) w świetle nowych perspektyw otwierających się dla Europy, projekt ustawy przedłożony narodowi francuskiemu przez prezydenta Republiki i upoważniający do ratyfikacji układów o przystąpieniu do Wspólnot Europejskich: Wielkiej Brytanii, Danii, Irlandii i Norwegii?"

O istotnych celach referendum pisaliśmy już na tym miejscu;

Δ nasilającą się walkę w NRF między partiami politycznymi, której etapem są obecnie wybory nowego rządu krajowego w Badenii—Wirtembergii (23 kwietnia). Walka ma taki rozmach — piszą komentatorzy — jakby chodziło o przyszłość republiki;

Δ wizytę premiera Kosygina w Iraku. Chociaż, jak przypuszcza się głównym tematem rozmów w Iraku są stosunki dwustronne, które mogą znaleźć formę układu, jednak zainteresowania rozmówców były szersze i dotyczyły także sytuacji na Bliskim Wschodzie;

Δ rozmowy Podgornego w Turcji, po których komentatorzy oczekują przyjęcia „deklaracji zasad", na których opierać się będą stosunki między obu krajami.

W. SŁAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ●

„Führer" z Hanau

„PARDON" — FRANKFURT NAD MENEM

„Ja nie założyłem partii, lecz pobudziłem ruch. Właśnie ruch, ponieważ nie trzeba do tego ani specjalnego pozwolenia władz, ani tym bardziej oficjalnej rejestracji. A zatem nie można nas także zdelegalizować" — rzekł „führer".

Zresztą sytuacja może niebawem ulec zmianie, ponieważ handlarz starymi samochodami z Hanau, Roland Tabbert, który złożył to pokrętne oświadczenie rok temu w jednym z wywiadów, zabiera się teraz do przeorganizowania swego „Nacjonalistycznego Niemieckiego Ruchu Wyzwolenia" w nową, otwarcie faszystowską partię.

Wprawdzie „przedstawiciel federalny" tej ciemnej szajki ekstremistów, mając prawdopodobnie na względzie ewentualność zakazu działalności, na razie nie zdradza się ze swoim zamierzeniem. Obawa przed takim zakazem jest całkowicie uzasadniona: partia, którą Roland Tabbert zamierza stworzyć przy pomocy swoich zuchów w reńskim miasteczku Krefeld, stawia przed sobą cel „uratowania wartościowego materiału ludzkiego, którym dysponowała NDP" (partia von Thaddena). W czym rzecz? Otóż po upadku partii Adolfa von Thaddena, Tabbert zaniepokoił się, że neofaszyści pozostali bez wodza. „Oni teraz nie wiedzą, co robić!!". Nazwa przyszłej partii Tabberta jest już wyraźnie sprecyzowana: NDAP, to znaczy Narodowa Niemiecka Partia Robotnicza".

Do pełnej tożsamości z NSDAP brakuje zaledwie jednego „S" — „socjalistyczna". Ale Roland Tabbert, który wiosną ubiegłego roku, na znak protestu „przeciwko twardemu terrorowi lewicowego rządu" wytatuował sobie na ciele nazistowski emblemat, nie kłopocze się o ten drobiazg.

Tabbert mówi: „Będziemy rozwalać nosy tym brudnym świniom wszędzie, gdzie tylko je spotkamy. Możecie tak napisać. Wprawdzie nie jest to najbardziej delikatny sposób i z tego powodu musiałem już wysłuchać niejednej lekcji, ale jest to język, który rozumieją lewicowcy. I tym językiem będziemy z nimi rozmawiać!"...

Takich to określeń używa w wywiadzie przed mikrofonem „legalnie wybrany führer niemieckiego ruchu wyzwolenia!!". Fakt, że podobne pogróżki ściągnęły na niego oskarżenia o działalność podburzającą społeczeństwo, nie zrobił na nim wrażenia. „Plułem na to!" — opowiada „führer". Niemniej, na wszelki wypadek, Tabbert poszukał sobie adwokata, niejakiego pana Schettlera z Recklinghausen. Adwokat z pewnością spodobał się Tabbertowi, jako że grupuje wokół siebie zdeklarowanych faszystów i kryminalistów. Celem działalności założonego w roku 1971 „Nacjonalistycznego Niemieckiego Ruchu Wyzwolenia", który liczy już sobie — według danych samego „führera" — 10 tysięcy członków (partia Thaddena liczy 30 tysięcy) jest stworzenie „wielkiej Rzeszy w granicach... z 1914 roku".

Tutaj nie ma już wątpliwości co do tego, kogo i gdzie chcą wyzwolić „wyzwoliciele". Tabbert chętnie uściśla swoje plany: „Na początek chcemy wprowadzić porządek w Niemczech, następnie w Europie, a później na całym świecie. Oczywiście według tego samego systemu, którego używamy, wprowadzając porządek w Niemczech"...

O tym systemie i o jego wykonawcach wiadomo już to i owo. I tak na przykład, zamierza się założyć NDAP w Kreffeld dlatego, że właśnie tam aż pali się do wznowienia ekstremistycznej działalności były członek NDP Friedhelm Busse.

Jednym z założycieli NDAP może być także 22-letni Erist-Georg Retza. Jest on członkiem aparatu kierowniczego filii „ruchu nacjonalistycznego" Tabbearta w Zachodnim Berlinie i już wprowadza tam porządek, bijąc wszystkich dookoła. W 1968 roku uczestniczył on w napadzie na zachodnioberlińską organizację Niemieckiego Socjalistycznego Związku Studentów. 17 czerwca 1971 roku, w dniu „jedności niemieckiej", zebrawszy skrajnie prawicową bandę w zachodnioberlińskim rejonie Fronau, otworzył ogień z karabinów na terytorium NRD. We wrześniu 1971 roku Retza został zatrzymany przez policję za zerwanie tablicy pamiątkowej ku czci Róży Luksemburg i rzucenie jej w okno kawiarni, w której zebrała się młodzież lewicowa.

Członkiem kierownictwa zachodnioberlińskiej filii „ruchu nacjonalistycznego", i kandydatem do NDAP, jest także niejaki Helge Reutke, zatrzymany wraz z Retza za „wyczyn" z tablicą pamiątkową. On również brał udział w strzelaninie 17 czerwca 1971 roku w rejonie Fronau. Ponadto Reutke jest „oberführerem" w skrajnie prawicowym „Związku Młodzieży, Wiernej Ojczyźnie", którego członkowie używają runicznego znaku zachodnioniemieckich odwetowców i pozdrawiają się na sposób hitlerowski.

W skład przywódców „ruchu nacjonalistycznego" wchodzi także właściciel kawiarni, Horst Max, pseudonim „Hotte". Zajmuje on stanowisko „pełnomocnika na Hamburg". Przez pewien czas ów aktywista partii Taddena dzierżawił w Zachodnim Berlinie kawiarnię „Wolfschanze", (nazwa głównej kwatery w byłych Prusach Wschodnich — red.), gdzie zbierali się ekstremiści. Nad bufetem wisiał portret Hitlera. W tym to właśnie środowisku, na poły faszystowskim i na poły przestępczym, znajduje się także miejsce i dla wyznawców prawicowego „porządku", i dla „drogocennego materiału ludzkiego NDP". Weźmy choćby dla przykładu takiego Johannesa Kreuzlinga z rejonu Schoeneberg w Zachodnim Berlinie. Był on tutaj przewodniczącym rejonowej organizacji NDP, dziś jest „federalnym przedstawicielem" prawicowo-radykalnej Niemieckiej Partii Nacjonalistycznej, a bardzo niedawno usunięto go ze stanowiska „kierownika kółka robotniczego" prawicowo-radykalnego Niemieckiego Związku Ludowego. Obecnie liderowi tego „związku", dr Freyowi, znudziło się, że jego zachodnioberliński przedstawiciel służy jednocześnie jego konkurentowi Tabbertowi. Tym bardziej, iż Kreuzling nie tylko uczestniczy w „ruchu nacjonalistycznym", ale jest w dodatku członkiem kierownictwa tej organizacji.

Związki wojujących prawicowych ekstremistów są tak wielostronne, że nawet eksperci rządu federalnego i policji politycznej NRF nie mogą się w nich zorientować. W lecie ub. roku, rząd federalny naliczył 108 przeróżnych ugrupowań i grupek prawicowych. Łączą się one i rozdzielają w sposób tak pozbawiony jakiegoś systemu, że nawet sami ich reprezentantywni przedstawiciele nie są w stanie powiedzieć, kto z kim jest związany i kto kogo zwerbował.

Bardzo typowe w tym sensie były frakcyjne boje na zjeździe NDP w Holzminden, na którym prawicowi radykałowie Adolfa von Thaddena, i jego następcy Musgunga, wzięli górę nad ultraradykalną frakcją monachijskiego adwokata Pelmana. Wraz z Pelmanem, we wszystkich turach wyborczych w Holzminden, walczył o stanowisko w chylącej się do upadku partii jego stronnik, 43-letni „pisarz" Udo Walendi. O Walendiego, szefa organizacji NDP w kraju związkowym Nadrenia Płn. — Westfalia, który zresztą przepadł w wyborach, zabiega już od kilku miesięcy nie kto inny, tylko sam „führer ruchu nacjonalistycznego", Tabbert. Jeszcze w lipcu ub. roku Tabbert powiedział swemu zaufanemu współpracownikowi z Zachodniego Berlina — Jurgenowi Heumanowi, że Walendi jest „naszym człowiekiem" i jakoby nawet zamierza przyprowadzić pod sztandary Tabberta całą swoją krajową organizację NDP.

Teraz „führer" z Hanau uważa Heumana za „sprzedajną świnię" i „oszczercę", ponieważ Heuman — który w lipcu ub. roku wstąpił do organizacji Tabberta i nawet objął kierownictwo filii „ruchu nacjonalistycznego" w Zachodnim Berlinie — poinformował policję, że „dobrzy Niemcy" Tabberta planowali zorganizowanie, 13 września 1971 roku, zbrojnego wypadu na granicę z NRD.

W wyniku szeroko zakrojonej akcji, policja skonfiskowała u Tabberta i jego kompanów, którzy notabene, zamierzali zabić kilku żołnierzy straży granicznej NRD, cały arsenał broni. U Tabberta znaleziono automat, pistolet typu „Colt", rewolwery, karabiny różnych typów i 2400 sztuk amunicji amerykańskiego pochodzenia. „Fuhrer" Tabbert określił to, jako „najbardziej ohydne wydarzenie w obozie prawicy". Oczywiście, nie miał on tu na myśli własnych bandyckich planów, lecz „świński postępek" Heumana...

Tych, którzy na podstawie informacji o arsenale znalezionym u faszystów Tabberta twierdzą, iż podżegają oni do gwałtu, były handlarz samochodami usiłuje przekonać, że jest wręcz odwrotnie. Na dowód tego, 4 grudnia 1971 roku, powiedział on w Hanau, że przecież „zdrajca jest jeszcze zdrów i cały"...

W rzeczywistości, zachodnioniemiecka policja musiała roztoczyć opiekę nad Heumanem, by uchronić go od jego rozwścieczonych „kolegów". Na przykład kierowca taksówki, Klaus Scherer, powiedział liderowi zachodnioniemieckiej NDP, Helmutowi Feldtowi, że „jutro na pewno wyłowi ktoś tę zdradziecką świnię z nurtów rzeki". „Führer" Tabbert zmodyfikował nieco pogróżkę pod adresem swego kolegi z „ruchu nacjonalistycznego" w Zachodnim Berlinie. „Zdrajców rozstrzeliwuje się!" — powiedział krótko.

Sytuacja w Zachodnim Pakistanie

„DAILY TELEGRAPH" — LONDYN

Po szeregu posunięć, przeprowadzonych w początkach marca br., prezydent Bhutto osiągnął w kraju polityczną stabilizację. W tym czasie Pakistan znajdował się już u progu wojny domowej, lub anarchii, spowodowanej buntem w szeregach policji, gwałtownymi wystąpieniami studentów i strajkami, którym towarzyszyły akty przemocy i gwałtu.

W obliczu kryzysu grożącemu krajowi, główny polityczny przeciwnik prezydenta — Wali Han, przywódca narodowej partii nacjonalistycznej w północno-zachodnich prowincjach pogranicznych, wyraził zgodę na utrzymanie w mocy stanu wyjątkowego do 14 września br. Dotąd istniały obawy, że Wali Han może się pokusić o oderwanie północno zachodnich prowincji od Pakistanu. Prezydent Bhutto poszedł na duże ustępstwa wobec przywódcy nacjonalistów, co dało mu możność wzmocnienia własnej partii. Już wcześniej usunął on od władzy dowódców armii lądowej i lotnictwa za „bonapartyzm", chociaż byli oni szczerymi zwolennikami jego powrotu do władzy po kapitulacji w ówczesnym Wschodnim Pakistanie.

Generał Tikka Han, którego wierność dla prezydenta nie budzi najmniejszych wątpliwości, awansował na głównodowodzącego armią i zapobiegał planom przewrotu, który gotowali młodzi pułkownicy o wygórowanych ambicjach politycznych. Prezydent Bhutto na razie nie zdaje sobie sprawy z faktu, że jego rząd nie kieruje już 75 milionami obywateli Wschodniego Pakistanu (obecnie Bengalii — red.). Liczbę ministerstw, policji, a przede wszystkim sił zbrojnych, które pochłaniają około 60 proc. budżetu państwowego, należy bezwarunkowo zmniejszyć.

Gdy prezydent był zaabsorbowany wypracowywaniem linii swojej przyszłej polityki, jego polityczny miesiąc miodowy został nagle przerwany w końcu stycznia br. całą serią strajków, nieomal we wszystkich przemysłowych rejonach kraju. Zarobki tysięcy robotników są bardzo niskie — 110, a nawet 100 rupii miesięcznie (mniej, niż wynosi opłata za pokój na 1 osobę w hotelu turystycznym). Robotnicy woleli dotąd otrzymywać groszowe wynagrodzenie, niż ryzykować walkę i utratę pracy. W Karaczi od grudnia ub. roku do kwietnia br. zwolniono z pracy ponad 50 tysięcy robotników. Duże trudności przeżywa wieś. Jeśli chwilową stabilizację życia politycznego uda się utrzymać do września br., to prezydent będzie mógł przystąpić do rozwiązania dwóch najważniejszych problemów: likwidacji niebezpiecznej sytuacji ekonomicznej i zawarcie traktatu pokojowego z Indiami. Konsorcjum pomocy Pakistanowi odmówiło, w czerwcu ub. roku, Islamabadowi dalszych kredytów, kiedy Pakistańczycy przestali płacić procenty od pożyczek. Od tego czasu, praktycznie rzecz biorąc, Pakistan nie otrzymuje żadnej pomocy zagranicznej. Fakt ten, oznaczający stratę około 40 milionów angielskich funtów szterlingów, które rokrocznie otrzymywał rząd pakistański za eksport juty z ówczesnego Wschodniego Pakistanu, spowodował chroniczny brak waluty zagranicznej. Całkowite wyprowadzenie wojsk indyjskich z Bengalii na dwa tygodnie przed terminem, a także niedawna wizyta prez. Bhutto w Moskwie przygotowały drogę do rozmów między Indiami a Zachodnim Pakistanem. Obecnie rząd Zachodniego Pakistanu z trudem wytrzymuje rosnący wciąż nacisk ze strony żon i krewnych ponad 93 tysięcy jeńców wojennych, i prezydent Bhutto będzie niebawem zmuszony do uznania Bengalii, by stworzyć warunki do rozmów z szejkiem Madżiburem Rahmanem.

● Zewsząd o wszystkim ●

1 Triennale Tkaniny Przemysłowej i Unikatowej Łódź - 1972

PREZENTUJEMY UCZESTNIKÓW

KRYSTYNA BRODZKA-PIĄTKOWSKA w latach 1946—1952 studiowała na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, na Wydziale Tkaniny w pracowni prof. Eleonory Plutyńskiej. W okresie 1951—1956 prowadziła kompozycję tkactwa w Liceum Technik Plastycznych w Białymstoku. Obecnie pracuje indywidualnie we własnej pracowni. Należy do Pracowni Doświadczalnej Tkactwa Artystycznego przy Związku Polskich Artystów Plastyków w Warszawie. Wypowiadała się kolejno w różnych rodzajach tkaniny artystycznej, tworząc w technice podwójnej, tkając sumaki i kilimy, a wreszcie gobeliny, którym w ostatnich latach wyłącznie się poświęca. Wychodząc z założeń geometrycznych wykorzystuje doskonałą znajomość techniki, podkreślając jednocześnie walory tworzywa.

Tkaniny Brodzkiej-Piątkowskiej znajdują się w zbiorach Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi, w Muzeum Sportu w Warszawie, w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie oraz w kolekcjach prywatnych w kraju, w Stanach Zjednoczonych, w Szwecji i w Kanadzie.

A. G.

KRYSTYNA BRODZKA-PIĄTKOWSKA
„Drzewo" (gobelin)

Dalszy ciąg ze str. 1

— Z pojęciem „dom kultury" wiążemy określoną treść: zespoły artystyczne, kółka zainteresowań, biblioteka i sala widowiskowa. Czy „dom kultury z prawdziwego zdarzenia" znaczy to samo!

— To, co było dobre dziesięć lat temu, dziś już nie odpowiada potrzebom i zainteresowaniom odbiorców. Dzisiaj dom kultury powinien być i bardziej nowoczesny i bardziej wszechstronny. Można go nazwać umownie kombinatem, w którym nastąpiłoby połączenie tego, co tradycyjnie określamy mianem działalności kulturalnej z działalnością oświatową, a także rekreacją.

— Najidealniej byłoby, gdyby można budować takie kombinaty od podstaw. Ale to jeszcze nie teraz i nie wszędzie jest możliwe. Czy zatem idea kombinatu jest tylko wizją przyszłości.

— Nie. Zaczęliśmy już tę ideę realizować w 1957 roku w Bielsku-Białej. W Łodzi te plany realizujemy w „Pałacyku", któremu patronuje ZPDz. „Olimpia". Obok działających tam zespołów artystycznych odbywają się różne spotkania, latem — koncerty w parku, a przez cały rok czynny jest kryty basen. A co najważniejsze, „Pałacyk" nie ogranicza się do imprez organizowanych u siebie, na co zresztą nie bardzo ma warunki, ale ze swoją działalnością kulturalno-oświatową dociera do załóg siedmiu zakładów pracy, które wspólnie go utrzymują. W przyszłości chcielibyśmy powiększyć bazę lokalową „Pałacyku".

— Czy oznaczałoby to również rozszerzenie jego działalności?

— Oczywiście. Mielibyśmy przede wszystkim miejsce dla spotkań ludzi mieszkających w pobliżu „Pałacyku". Można byłoby też urządzić boisko sportowe, salę widowiskową, salki klubowe, kawiarenkę.

— Od dawna mówi się o zakładowym domu kultury ZPB im. J. Marchlewskiego, który ma powstać na Bałutach. Jaki będzie model tego domu?

— Po pierwsze — będzie to dom kultury wybudowany wprawdzie ze środków ZPB im. Marchlewskiego i w przyszłości ekonomicznie z nim związany, ale swoją działalnością będzie obejmował mieszkańców całej dzielnicy. Od dawna bowiem skończyliśmy z zasadą, utrzymywania takich placówek tylko dla załogi. Po drugie — będzie to coś więcej niż dom kultury. Już nie tylko sala widowiskowa i gabinety specjalistyczne, ale obok basenu i sal gimnastycznych, poradnie społeczne oraz pomieszczenia dla zajęć pozalekcyjnych mieszkających w pobliżu dzieci. Mam nadzieję, że będzie to właśnie kombinat — dom kultury z prawdziwego zdarzenia.

— Tego typu placówki na pewno łatwiej zbudować w dużych ośrodkach przemysłowych, gdzie kilka zakładów jednej branży może je wspólnie finansować. Ale jak zbudować taki dom kultury w małym ośrodku, gdzie często jest tylko jedna fabryka.

— Związek Włókniarzy dąży do tego, aby takich placówek było jak najwięcej. Mamy już podobne w Tomaszowie Mazowieckim, w Zgierzu, Kamiennej Górze, Lubaniu czy Legnicy. Często powstały one dzięki połączeniu funduszów zakładów różnych branż. Ale nie od razu jest to kombinat. Do tego celu trzeba dążyć różnymi sposobami. W małych ośrodkach, gdzie do tej pory nic nie było, w ubiegłym roku zorganizowaliśmy przeszło 30 nowych placówek. Powstały one m. in. w Wasilkowie w Białostockiem, Pakości koło Bydgoszczy, Okonku w Koszalińskiem, czy Mucharzu w Krakowskiem. W ośrodkach tych była dostępna do tej pory tylko telewizja. Powstanie nowych placówek kulturalnych, nawet najskromniejszych, jest już dodatkową propozycją spędzania wolnego czasu?

— Dla kogo?

— Zależy to od środowiska, a także od możliwości, a przede wszystkim zainteresowań i umiejętności organizatorów. Często będzie to propozycja dla młodych, którzy w zespołach artystycznych znajdują okazję do wykazania swoich zdolności. I jeśli taki zespół istnieje w małej miejscowości, ot np. w Moszczenicy, to swoimi występami może zainteresować także szersze grono odbiorców. Z inną propozycją wystąpiła np. placówka „Radoskóru" z Radomia, która zorganizowała „szkołę narzeczonych". Gdzie indziej są to problemy kobiet, albo ludzi starych. Uważna obserwacja życia może dostarczyć wiele ciekawych pomysłów, trzeba tylko umieć odpowiadać na istniejące zapotrzebowanie środowiska. Staramy się przełamywać niedobry zwyczaj oceniania pracy poszczególnych placówek na podstawie ilości zorganizowanych zespołów artystycznych. Uczymy działaczy kulturalnych dostrzegania potrzeb danego środowiska i doradzamy, jak na nie odpowiadać.

— Jest to już działalność kulturalna bardzo szeroko rozumiana.

— Tak, bo dziś już nie wystarczy tylko rozdać bilety do teatru i zostawić ich w tym teatrze samych. Trzeba najpierw przygotować ich do odbioru, nauczyć tego, co to jest teatr współczesny, tym bardziej, że ha co dzień mają oni do czynienia choćby z teatrem telewizji. Posłużyłem się tu przykładem teatru, a przecież tak trzeba uczyć odbioru całej współczesnej sztuki.

— Trzeba uczyć. Ale na razie są to bardziej ambitne zamierzenia, niż stan faktyczny.

— Niezupełnie. Niektóre nasze placówki mogą już pochwalić się taką działalnością. W ten właśnie sposób pracuje na przykład Dom Kultury Włókniarzy przy ul. Siedleckiej w Łodzi.

— Moje wątpliwości biorą się stąd, że nie umiem sobie odpowiedzieć na pytanie, kto to wszystko będzie robił.

Wśród kadry organizatorów mamy ludzi z ogromnym doświadczeniem. 60 proc. to ludzie z wyższym wykształceniem. Mają oni możliwość podnoszenia swoich kwalifikacji w ośrodkach metodycznych

KULTURA NIE TYLKO OD ŚWIĘTA

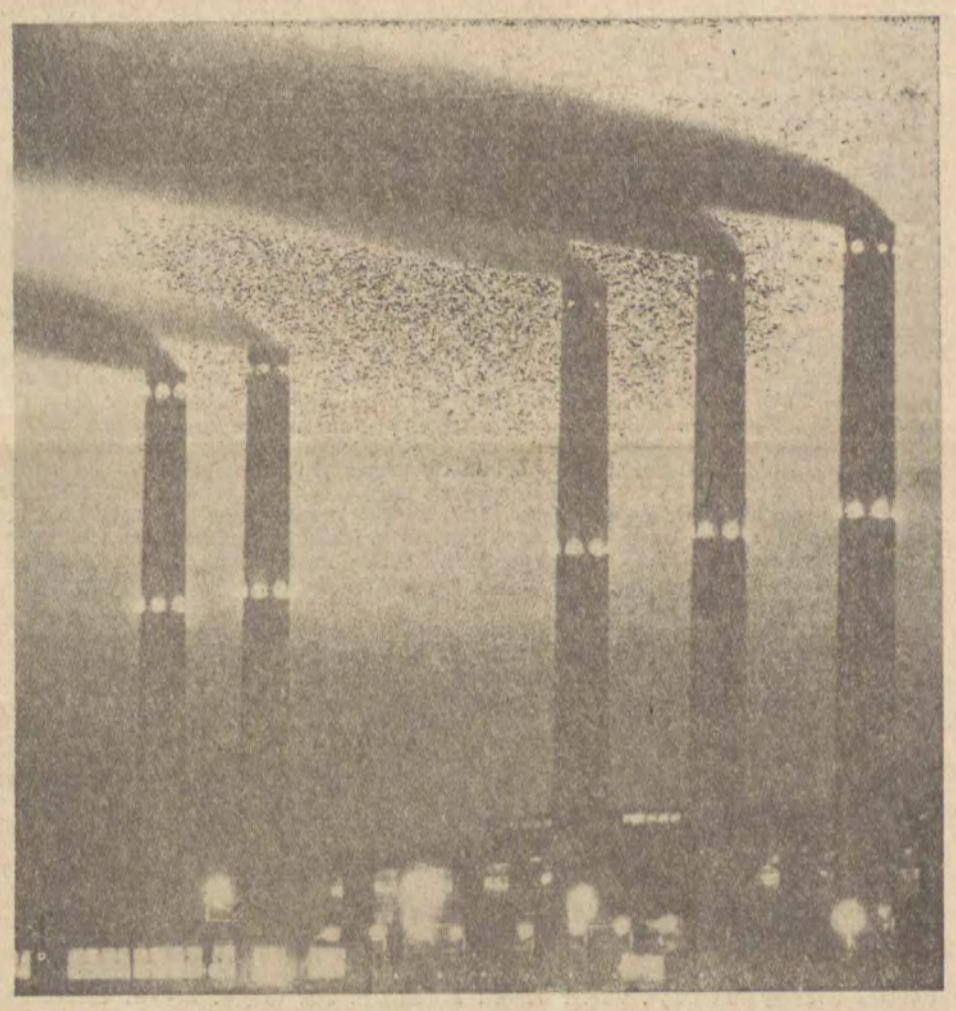

w wojewódzkich domach kultury. Ale tu mam pewne zastrzeżenia do metod pracy tych ośrodków. Moim zdaniem więcej korzyści, niż odczyty i prelekcje, dałaby możliwość częstszej wymiany doświadczeń.

— Mówiliśmy o zmianie modelu placówki kulturalnej, trzeba powiedzieć też o nowym typie organizatora życia kulturalnego. Musi on umieć nie tylko znaleźć teatrologa, literata, zaprosić aktora czy plastyka, ale również odszukać specjalistów z różnych dziedzin, którzy nauczyliby ludzi tego, co się popularnie zwie „kulturą dnia codziennego".

— Zgadzam się. I stąd mamy pretensje i postulaty pod adresem Ministerstwa Kultury i Sztuki, które zajmuje się wprawdzie kształceniem instruktorów, ale tylko dla amatorskiego ruchu artystycznego. Ten nowy typ organizatora szeroko już podjętego życia kulturalnego rodzi się na razie samorzutnie. Bardziej to wynika z intuicji i talentu naszych działaczy, niż ze zdobytych kwalifikacji.

— Instruktor artystyczny powinien więc działać obok dobrego organizatora życia kulturalnego.

— Tak, ale w dużych ośrodkach przemysłowych, gdzie jest kilka domów kultury, nie w każdym potrzebny jest instruktor śpiewu czy tańca. Dążymy bowiem do specjalizacji. Nie ma potrzeby tworzyć przy każdej placówce w Łodzi zespołu tańca, skoro mamy dobrze prowadzone zespoły ŁZPB im. Obrońców Pokoju, ZPW „Lodex", nie mówiąc już o słynnym poza granicami kraju zespole tańca im. Sz. Harnama. Tam trzeba po prostu delegować amatorów tańca z innych zakładów. Nie ma sensu tworzenia wielu podobnych zespołów również dlatego, że często zajmują one i tak skromne pomieszczenia placówek kulturalnych przez parę dni w tygodniu, blokując miejsce dla innych form działania.

— Przez całą naszą rozmowę przewija się jedna, do tej pory nie wypowiedziana myśl: koordynacja. Jak wynika z podanych przykładów wszędzie tam, gdzie w praktyce stosuje się zasadę koordynacji, są sukcesy.

— To prawda, ale chciałbym od razu zastrzec się, że dobre wyniki osiąga się przede wszystkim tam, gdzie stosuje się koordynację właściwie pojętą. W praktyce mojej dość często stykałem się z wypaczeniem tej zasady. O koordynacji mówiono bowiem tylko wtedy, kiedy chodziło o połączenie funduszów. Moim zdaniem trzeba koordynować wysiłki dla osiągnięcia dobrze nakreślonego celu. A więc jest to koordynacja myśli, umiejętność wyboru metod i sposobów postępowania, umiejętność selekcji. Ale to nie jest proste.

— Czyżby przeszkadzał partykularyzm zawodowy i środowiskowy?

— Tak, ale tylko dlatego, że główną uwagę koncentruje się na finansowym udziale w danym przedsięwzięciu. Nie wszędzie dobrze układa nam się współpraca z innymi związkami zawodowymi. Uważam, że gdyby najpierw jasno sprecyzowano sobie cel, jaki chce się osiągnąć, a później zaczęto ustalać środki, które do tego doprowadzą, to i sprawa udziału finansowego wyglądałaby inaczej i dla wielu nie byłaby taką przeszkodą, jak obecnie.

— Tym bardziej, że wszystkim powinno zależeć na jak najlepszej organizacji czasu wolnego, który stale będzie się przecież powiększał.

— Zapewne. I dlatego powinniśmy nie czekać aż potrzeby zmuszą nas do współpracy, ale rzetelnie przygotowywać się do niej, odrzucając to wszystko, co pozornie nas dzieli, a stale szukając tego, co łączy. A wszystkich nas łączy troska o jak najlepsze warunki życia współczesnego człowieka.

ROZMAWIAŁA: BOGDA MADEJ

BOGUSŁAW KUKUĆ

KTO ROBI BIMBER?

Kiedy przywieziono kolejną siedemdziesięcioletnią babcię, nie wytrzymałem. Pojechałem do jej rodzinnej wsi. Już po piętnastu minutach wiedziałem, gdzie można kupić „księżycówkę". O Wojciechowej nikt nie wspomniał. Gdy napomknąłem, powiedzieli, że wzięto ją na posterunek w Wiśniówce. Owszem, bimber trzymali, ale jej synowie i zięć. Jeden z nich, Stasio, pracuje na trzy zmiany w Łodzi.

Panie — mówi — boję się trzymać u siebie. Ktoś sypnie, jeszcze jak teraz płacą za powiadomienie, to szybciej, znajdą, zwiną i do sądu. Sędzia popatrzy na czerwony nosio i nie uwierzy, że mam katar; więc u starej trzymałem. Wie pan, do roboty czasami, imieniny majstra i takim swoim. Przecież się nie handlowało, ale za ceglę, na punkcie, w mleczarni nikt nie odmówi. A taki czyściuteńki jak perła, jeszcze węgierski specjalny olejek i jak koniaczek. Taki dyrektor, co tu na letnisko z miasta Łodzi samochodem przyjeżdża, latoś już trzy razy był, kanisterek bierze, a cieszy się, że jeszcze go nikt nie rozgryzł. On jak dobierze, wleje do prawdziwych butelek, taką małą lutownicą od telewizora kapsle przylutuje to wszyscy mlaskają. I jeszcze zakłady wygrywa. Że, koniak to pewne; ale jaki?

No tak; a co z matką? — przerwałem twórczy zachwyt. Zacier panie przepadnie, a matuli i tak zawieszą; siedemdziesiąty piąty roczek w czerwcu jej stuka.

Stasio miał rację. Do sądu pojechała siwa, trzęsąca się staruszka. Powiastkę podpisała „cmentarzem". „Papiry" wzięła wszystkie, nawet wojenne. Na szyi w węzełku 150 zł, różaniec, książeczka do nabożeństwa. Wytrącona z codziennych zajęć, karmienia kurek, obierania ziemniaków, w mieście w ogóle źle się czuje, a co dopiero na sali sądowej. Połowy z tego nie rozumie, do kogo i o czym mówią. Zaczęła się nieudolnie tłumaczyć, że to było troszeczkę na „pępkowe" i chrzciny; bo Stachowi po trzech dziewczynach syn się urodził, jej wnuczek znaczy. Zająknęła się i potem była już cicha.

Było tego jednak sporo, a społeczne niebezpieczeństwo czynu też znaczne. Dostała ostro: półtora roku w zawieszeniu i grzywny 10 tys. zł.

* * *

Kto bliżej zajmie się problemem alkoholizmu w naszym kraju, zahaczy przy okazji o orzecznictwo sądowe w sprawach o nielegalną produkcję alkoholu, jego przetrzymywanie czy handel bimbrem, stwierdzi bez trudu, że wiek sprawców tych przestępstw jest najwyższy ze wszystkich kategorii skazanych. Już to jest zastanawiające i powinno zdziwić. Podany wyżej przykład jest niejako „klasycznym" z tej branży.

Stany faktyczne ustala się w tych sprawach na podstawie jednego czy dwóch doniesień, znalezienia dowodów rzeczowych w postaci aparatury do produkcji, baniek czy butelek zacieru lub gotowego produktu. Często są to całe „fabryki" alkoholu; sprawcy wtedy zostają surowo ukarani, pozbawieniem wolności i wysokimi grzywnami. Wykrycie, zabezpieczenie dowodów rzeczowych, należy do organów ścigania, w szczególności MO. Do zadań sądu należy udowodnienie, że zrobiła to właścicielka np. stodoły, w której znaleziono te akcesoria, lub o istnieniu których co najmniej wiedziała.

Ostatnio obserwuje się jednak coraz liczniejsze nieprawidłowości w stosowaniu ustawy z dnia 22. 04. 1959 r., w szczególności gdy sprawcy rekrutują się ze wsi. Skazani zostają nie faktyczni producenci bimbru, a „podstawione" przez sprytnych synalków, zięciów, ich stare matki, u których w stodole, czy zagrodzie, odbywa się cały cykl produkcyjny dojrzewania „księżycówki". Jest to zimna kalkulacja, świadomych niebezpieczeństwa wielu mieszkańców naszej wsi, omijających tą drogą prawo. Są to fakty wysoce niebezpieczne, nie tylko ze względu na naruszanie przepisów prawa, ale i, delikatnie mówiąc, moralnie naganne. Zastanawia tylko fakt łatwości z jaką sądy dają się na to nabrać.

Jest prawdą, że „bimbrowe" sprawy są niepopularne i nieciekawe dla sądów. Dla większości jest to „czarna robota", prawie automatyczna. Wyroki w tych sprawach też są podobne. Różne tylko nazwiska, ilości zacieru i sam wymiar kary. W przypadku staruszek, prawie zawsze zawieszenie jej wykonania. Los takiej skazanej staruszki, zaślepionej miłością do dzieci, zależy potem już tylko od faktycznego sprawcy — synalka, a ściślej od tego, czy zapłaci, czy też nie zapłaci grzywny za matkę.

Jeżeli nie, a nie są to przypadki odosobnione, to matka trafia do zakładu karnego, za nieuiszczoną grzywnę. Biorąc pod uwagę podeszły wiek, gwałtowną zmianę warunków życia, przyzwyczajeń, rozgoryczenie, są to często jej ostatnie miesiące.

Tendencja „na odczepne" traktowania tych spraw przez sądy została zauważona przez społeczeństwo wiejskie i nie sprzyja wzrostowi poszanowania dla prawa, ani nie robi dobrej reklamy dla pracy sądów. Trzeba przy tym zauważyć, że to sądy służą społeczeństwu, a nie odwrotnie. Kariera sędziego nie może zależeć od szybkości załatwienia poszczególnych, pozornie oczywistych spraw, jako numerków do miesięcznych statystyk.

Jest przecież faktem, że niechętnym okiem patrzy się na sędziego odraczającego łatwe, nudne sprawy. Sędziom, którzy się tego może wstydzą, a może poprzez pozory sprawnego orzeczenia chcą szybciej dojść do prowadzenia ciekawszych spraw, moglibyśmy to wybaczyć. Prócz nich jednak w składzie sędziowskim uczestniczą ławnicy, których obowiązkiem jest zadawanie pytań „życiowych".

Istota bimbrowego problemu tkwi w tym, że taka postawa sądów, ferujących wyroki, nawet surowe, ale chybione, bo omijające właściwych sprawców, każe stawiać tę dziedzinę pracy sądu po stronie czynników, sprzyjających wzrostowi nielegalnej produkcji alkoholu. W tej dziedzinie przed sądami stoją szczególne zadania; nie można dopuszczać do tego, aby sprawę „odwalić", uznać za oczywistą „wobec dowodów przestępstwa w postaci aparatury... itd.". Nie powinno się tych spraw rozpatrywać tylko przez pryzmat czasu i paragrafów, bo zamiast sędziego mogłaby pracować odpowiednio zaprogramowana maszyna matematyczna, ale przez analizę zdrowego rozsądku, często „chłopskiego rozumu".

Niestety, „bimbrowe" sprawy nie najlepiej świadczą o pracy naszych sądów i jest pewne, że bez poprawienia wyraźnie skrzywionej „muszki sprawiedliwości" walkę z pijaństwem trudno nam będzie wygrać.

SIEDZĘ PRZY STOLE DYSPOZYCYJNYM I ŚLEDZĘ TRYB PRZYJMOWANIA WEZWAŃ POGOTOWIA RATUNKOWEGO. W PEWNYM MOMENCIE NERWY ODMAWIAJĄ MI POSŁUSZEŃSTWA. PO ASYSTOWANIU W DNIU I W NOCY PRZY STOLE DYSPOZYTORA — DOCHODZĘ DO WNIOSKU, ŻE TO NIE JEST POGOTOWIE RATUNKOWE I IDĘ NA ROZMOWĘ DO DYREKTORA.

— Jeżeli Pogotowie Ratunkowe nazywamy strażą pożarną lecznictwa i spodziewamy się od niego usług w nagłych wypadkach, wówczas kiedy życie człowieka jest zagrożone — to dlaczego ta „straż pożarna" wyjeżdża także do wyłączania kuchenek gazowych albo do zestawiania kipiącego mleka?

— Niech się pani nie denerwuje — dyrektor Jan Matczak jest spokojny — niech pani pamięta, że tu — w naszej instytucji nie wolno się denerwować nawet wówczas, gdy wzywający pomocy wymyśla nam najgorszymi słowami. Przeżywamy trudności i kłopoty wielkiej miary, ale musimy je pokonywać i coraz bardziej usprawniać działalność...

— Nie bardzo widzę skuteczność tych zamiarów w świetle faktów, jakie zdążyłam zaobserwować. Przecież Pogotowie rozszerza coraz bardziej swoją pomoc leczniczą, zamiast doraźnej, w nagłych wypadkach. No a te wezwania nieuzasadnione? Byłam świadkiem wezwania do 84-letniej pacjentki ze śpiączką cukrzycową. Pojechała „R-ka". Pod wskazanym adresem przyjęła zespół zdrowiutka i zdumiona dziewczyna. Numer telefonu się zgadzał, adres też, a okazało się, że to kawał. I dziesięć podobnych wypadków wezwania do pijaka, do chorego na grypę, do zapalenia oskrzeli. Wezwania brzmią bardzo wiarygodnie, a tymczasem pomoc polega na poradzeniu, żeby pacjent odwiedził lekarza rejonowego, bo innej pomocy nie wymaga. Dlaczego nie kierujecie tych spraw do Kolegium do Spraw Wykroczeń.

— To by dopiero było! Pani wie, ilu ludzi wyłączylibyśmy z pracy? Sami lekarze proszą, żeby nie wysyłać wniosków, bo przesłuchania i rozprawy odciągają ich nie tylko od pracy w pogotowiu, ale i poradniach i szpitalach na wiele godzin. Przeprowadziliśmy analizę jednego stołu dyspozycyjnego za styczeń. Wybraliśmy tylko wyjazdy tzw. ostre. W tym miesiącu 94 wezwania brzmiały: umiera, nieprzytomny. W 90 procentach były to wezwania do upojonych alkoholem. I gdybym tak posłał wszystkie sprawy do Kolegium — kierowcy, sanitariusze i lekarze chodziliby po kolegiach. Tu nie miałby kto pracować.

— Przekonał mnie Pan połowicznie. Przecież w takich wypadkach powinno się egzekwować co najmniej zwrot kosztów wyjazdu karetki — 200 czy 250 złotych...

BOGDAN GRZELOŃSKI

Marciszewski gospodarzem Białego Domu?

Wyznaczony na konwencji Partii Demokratycznej w r. 1968 na stanowisko prezydenta Hubert Humphrey zdecydował, by w kampanii wyborczej przy jego boku — jako wiceprezydent stanął Edmund Muskie. Poczytny wśród polityków, intelektualistów i byznesmenów „The New York Times" krok ten uważał za błąd. Katolik, Polak, senator z niewielkiego stanu Maine, bez powiązań i pieniędzy, stosunkowo mało znany polityk...

Było to jednak duże zaskoczenie i to nie tylko dla prasy, ale i dla tych wszystkich, co przychodzili na spotkania z Muskie'm. Przede wszystkim potrafił zachować spokój i znakomicie przemawiać. Bez efekciarstwa i demagogii. Prosto, rzeczowo, przekonywająco. Nie mogli mu się przeciwstawić nasyłani na spotkania krzykacze z Partii Republikańskiej. Zbijał ich argumenty. Nierzadko ośmieszał. Człowiek nr 2 w tandemie Humphrey-Muskie w toku kampanii zaczął być pierwszym. Humphrey naprawdę znalazł się w jego cieniu... Wybory w 1968 roku wygrał Nixon. Zdobył zaledwie pół procenta głosów więcej. Ale w dość szerokiej opinii: polityków, prasy i wyborców, Muskiego uważa się za niepokonanego w tej kampanii. Utrwaliła się więc jego pozycja w szeregach Demokratów. Wzrosło zainteresowanie społeczeństwa, co oczywiście podchwytuje prasa i publicystyka, pisząc częściej o senatorze z małego. wciśniętego pomiędzy Kanadę a Atlantyk stanu Maine. Tym bardziej, że 4 stycznia tego roku w 10 minutowym wystąpieniu telewizyjnym, kosztującym 30 tysięcy dolarów, wyraził on chęć kandydowania na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.

* * *

Historia rodu Muskie na ziemi amerykańskiej jest krótka, nader krótka. Nie sięga nawet okresu tzw. „starej" emigracji, tej która do Ameryki przybyła pomiędzy 1820—1880 rokiem. Jej korzenie tkwią bowiem w naszym stuleciu. W 1903 roku ojciec Edmunda, Stefan, terminator u krawca, zagrożony odbyciem służby wojskowej w carskiej armii, porzuca zabitą deskami białostocką wieś Jaśminówka i wsiada na statek płynący do Ameryki. Na znanej Ellis Islands, przez którą przechodziła duża część emigrantów, z pomocą urzędnika, od razu „na pniu" staje się Amerykaninem. Mianowicie mający trudności z wypowiedzeniem nazwiska Marciszewski, urzędnik, bezceremonialnie wyrzuca cały środek. Zostawia Maski. By jednak nazwisko w pełni nabrało angielskiego brzmienia do karty wpisuje Muskie. Czy to jednak skłoniło siedemnastoletniego Stefana Muskie do osiedlenia się w małym atlantyckim stanie Maine, głównie zamieszkałym przez anglosasów i protestantów, a znanym z przemysłu drzewnego i połowu homarów? Nie wiemy. Faktem jest, że w małym miasteczku Rumford krawiec Muskie niewiele zarabiał. Ciułał cent do centa. I dopiero mając nieco „dolarów" wyruszył po żonę, Polkę. Ale nie do kraju. Bliżej, do Buffalo. Do jednego z tych miast amerykańskich, gdzie powstała także „Mała Polska", a właściwie getto polskie. W 1911 roku poślubił Józefinę Czarnecką, córkę polskiego emigranta. W kilka lat później mieli już sześcioro dzieci. Urodzony 28 marca 1914 roku syn otrzymał właśnie imiona Edmund Sykstus.

Edmund Sykstus od najmłodszych lat nie sprawiał im kłopotów. Wbrew przezwisku kolegów szkolnych — „Głupi Pollack" uczy się bardzo dobrze. Zarówno w szkole podstawowej, jak i średniej. Dlatego bez trudu otrzymuje stypendium, najpierw do Bates College w Lewiston, a potem na wysoko notowanym uniwersytecie Cornella. I tutaj nie obniża lotów, chociaż dorabia sobie zmywaniem naczyń w restauracji za kilka dolarów tygodniowo. Wtedy także kształtuje swoje poglądy polityczne. Staje się zwolennikiem Partii Demokratycznej, jako jedyny na całym uniwersytecie. W 1938 roku otrzymuje cum laude dyplom wydziału prawa. Rok później w niewielkim miasteczku Waterville w rodzinnym stanie (13 tys. mieszkańców) otwiera kancelarię adwokacką. Ale jak wspomina „klienci nie pchali się drzwiami i oknami". Przychodzi wojna. Zgodnie z tradycją stanową wstępuje do marynarki. W stopniu porucznika pływa na ścigaczu i jak wielu „jankesów" ociera się o świat. Po jej zakończeniu wraca do Waterville. Ale w biografii jego następują zmiany. Pierwsza to Jane Frances Grey, lat 19, eks-królowa piękności stanu Maine, ekspedientka w jednym z domów towarowych. Druga to mandat do legislatury stanowej. Polityka zresztą pochłania mu coraz więcej czasu. Angażuje się bowiem w wiele akcji. Ambicją jego staje się, by demokraci zdobyli zaufanie w republikańskim stanie. Jak mówi: „Maine potrzebuje systemu dwupartyjnego". A wcale nie jest to łatwe. Wszak, jak powiadają w Maine, „po spotkaniu z Demokratą należy sprawdzić kieszenie, czy coś z

POGOTOWIE czy „rejon na kółkach”?

Z dr **JANEM MATCZAKIEM** dyrektorem Pogotowia Ratunkowego rozmawia **Zofia Tarnowska**

— Nie możemy. Ministerstwo skasowało mandaty. Bierzemy tylko 20 złotych za „usługi” w wypadku nieuzasadnionej wizyty.

— *Uważam, że Ministerstwo, a może nasza Rada Narodowa, powinny coś w tym względzie postanowić. Taka dostępność usług Pogotowia i tak szeroki zakres jego poradnictwa muszą działać niekorzystnie na sprawność jego funkcjonowania i mogą doprowadzać do wypadków, które potem odnotowuje się w opinii publicznej jako — mówmy otwarcie — zaniedbania czy wręcz niedbalstwo. Proszę mi powiedzieć, jaka jest dewiza instytucji zwanej Pogotowiem?*

— Generalną dewizą powinno być oczekiwanie na wezwanie, to znaczy karetka z lekarzem i sprzętem czeka na dyspozycje i natychmiast udaje się z pomocą do nagłego wypadku, czy zachorowania. W naszych warunkach zdarza się, że nie możemy nadążyć za wezwaniami. I wtedy oczekuje wzywający. Nagle w ciągu godziny sypie się po kilkadziesiąt wezwań i kierowanie ruchem zespołów jest bardzo trudne. Radzibyśmy załatwić wszystko sprawnie, ale potrzeby wzrastają.

— *To znaczy?...*

— Dziesięć lat temu, w 1961 roku, karetki wyjeżdżały ponad 67.000 razy, a w 1971 roku — 132.300 razy, w tym do wypadków ulicznych, w pracy itp. — 5.790 razy w 1961 roku, a 12.113 razy w roku 1971.

— *A reszta?*

— Wyjazdy do zachorowań. Wypadki (z różnych powodów wzrastają i można od biedy zgodzić się, że to jest jakaś prawidłowość, uwarunkowana rozwojem mechanizacji, motoryzacji itp.) stanowią nie więcej niż 10 proc. wyjazdów.

— *Dlaczego więc szerzy się nagminnie popularność leczniczych usług Pogotowia? Czy tak bardzo pogarsza się stan zdrowia ludności naszego miasta?*

— Nie ma podstaw do tłumaczenia wzrostu ilości wezwań tą przyczyną. Pogotowie jest najdostępniejszą formą pomocy lekarskiej, więc wzywa się je, zamiast korzystać z pomocy lecznictwa otwartego. Ludzie zmieniają, wyolbrzymiają stan chorego i stajemy wobec trudnej sytuacji. Jedziemy tam, gdzie jest alarm: bóle serca, bóle brzucha, bóle w plecach. Jedziemy do „bólów serca”, w pośpiechu — okazuje się, że to błahostka, a „bóle w plecach” czekają — okazuje się, że to zawał serca. Wzywający pomocy mają pretensje, że wypytujemy o szczegóły. Musimy. Staramy się zrozumieć ich zniecierpliwienie i ograniczyć „rozpytywanie” do najistotniejszych spraw. Przecież musimy kierować wszędzie zespoły specjalistyczne, w tym celu je powołaliśmy w imię doskonalenia pomocy. Dlatego mamy zespoły reanimacyjne, internistyczne, pediatryczne, położnicze...

Wyobraźmy sobie, że przyjmujemy zlecenia „jak leci”, a więc wysyłamy karetki w kolejności wezwań. W ciągu tygodnia wytworzy się bałagan, w którym zginie wiele osób. Chcemy załatwiać wszystkie wezwania szybko, ale musimy je różnicować i dawać pierwszeństwo wezwaniom na hasła, które nasuwają nam podejrzenie zagrożenia życia. Natomiast zachorowań sygnalizowanych jako atak kolki wątrobowej, nerkowej, czy nerwicy, (aczkolwiek traktujemy także jako pilne, wymagające niesienia ulgi chorym) nie możemy przyjmować jako sygnału do walki o życie. I dlatego wypytujemy i być może denerwujemy pacjentów. Niechże jednak zrozumieją własny interes. Źle byłoby, gdyby do chorego na serce przyjechał pediatra, a do ataku kolki wątrobowej — ginekolog.

— *Znaczne spiętrzenie wezwań notuje się zwłaszcza w późnych godzinach wieczornych, a przecież mamy Nocną Pomoc Lekarską?*

— Jest to agenda Pogotowia i przyjmuje wszelkie wezwania, nie tylko w wypadkach nagłych zachorowań. W ten sposób pracujemy cały wieczór i noc bez odmów udzielenia pomocy lekarskiej. Dyspozytor z numeru 09 przyjmuje wezwania i kieruje na NPL, zawiadamiając o tym wzywającego. Praktykuje się to w wypadkach, kiedy treść wezwań informuje o podwyższonej temperaturze, bólach gardła, nawracających bólach głowy itp. Najczęściej są to choroby trwające już kilka dni, a pacjenci nie wzywali lekarza z rejonu. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że pod objawem gorączki mogą kryć się poważne zachorowania — zapalenie płuc, czy ciężki przebieg grypy, ale praktyka wykazuje, że w pierwszych godzinach tych schorzeń nie występuje nagłe zagrożenie życia.

— *Nocna pomoc działa w bardzo słabym tempie...*

— Rytm pracy NPL nie nosił charakteru nagłej pomocy, a poza tym sami wzywający narzucają taki właśnie rytm. Jeżeli bowiem o godzinie 20, godzinie rozpoczynania jej pracy, lub o godzinie 21 — leży już 50 zgłoszeń, to jak działać pośpiesznie? Widać, że pacjenci w ciągu dnia nie skorzystali z usług rejonu.

— *Może im odmówiono?*

— Nie umiem na to odpowiedzieć, wykracza to poza działalność Pogotowia. Po doświadczeniach z okresu epidemii grypy zaostrzyliśmy dyscyplinę pracy NPL, ale będziemy bezradni, jeżeli pacjenci będą nam zgłaszać wezwania w takiej ilości, która z góry zapowiada opóźnienie. Naprawdę gorąco namawiamy do wykorzystywania w pełni usług lecznictwa rejonowego w czasie dnia.

— *Nie wiem, czy ten apel pomoże, skoro — jak przedtem odnotowaliśmy — dostępność usług Pogotowia jest wielka, zastanawiam się tylko, czy w takim układzie pracy Pogotowia nie zmniejsza się szansa ratowania życia (chyba społeczeństwo wzajemnie ją sobie zabiera) i nie wzrasta ryzyko. Przecież ostatnio mieliśmy przykre wypadki zgonów z powodu opóźnionej interwencji...*

— Proszę pani, trudno mi o tym mówić, ale w tym rytmie pracy, przy takim nawale obowiązków, tak wzrastającej liczbie wyjazdów — może zaistnieć jakaś niewłaściwa decyzja, może zawieść jakiś element złożonego mechanizmu. Staramy się być bardzo uważni, precyzyjni w ocenie przypadków. Dlatego w biurze wezwań całą dobę jest starszy lekarz dyżurny, decydujący o całokształcie pracy zespołów wyjazdowych. I on musi podejmować decyzję w takich przypadkach, kiedy jest wiele wezwań nagłych, a np. tylko dwa zespoły.

— *Podejmuje ryzyko?*

— A czy może nie podjąć? To jest nieuniknione mimo jego dużej wiedzy i precyzji działania. Takie ryzyko podejmuje, kiedy trzeba przewieźć chorego na zlecenie lekarza rejonowego do szpitala (mamy do 100 zleceń dziennie) i także wówczas, kiedy przerzuca wezwanie do nocnej pomocy, bądź przyjmuje reklamowaną wizytę w NPL. Niech społeczeństwo rozstrzygnie w osądzaniu nas — czy możemy uniknąć ryzyka?

— *Jestem zdania, że ryzyko będzie się zmniejszać, jeżeli pogotowie przestanie rozszerzać swe usługi „rejonu na kółkach”, a zachowa charakter interwencyjny w wypadkach zagrożenia życia i na tym odcinku dążyć będzie do doskonałości działania.*

— Takie jest nasze dążenie, a za jego faktyczny wyraz należy uważać organizowanie dzielnicowych samodzielnych stacji pogotowia. Powiększające się nowymi osiedlami dzielnice, rozległość ich terenów, wzrost ilości mieszkańców (to są wielkości średnich miast) przerastają miarę sprawności jednej stacji Pogotowia. W tym układzie nie możemy działać szybko, a przecież szybkość i fachowość — to symbole naszej pracy.

Listy do redakcji

REDAKTOR NACZELNY TYGODNIKA „ODGŁOSY”

W związku z opublikowanym w nr 4 z dnia 23 stycznia 1972 r. „Odgłosów” artykułem: „Kardas story” informuję, że Prokuratura Generalna, po zbadaniu sprawy Jana Kardasa — skazanego prawomocnym wyrokiem Sądu Powiatowego w Piotrkowie Trybunalskim z dnia 21 grudnia 1971 r. na karę 6 miesięcy pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem jej wykonania na okres 2 lat — i po zapoznaniu się z wynikami ustaleń komisji KW PZPR w Łodzi — wniosła do Sądu Najwyższego rewizję nadzwyczajną na korzyść J. Kardasa, wnioskując uchylenie wyroku i umorzenie postępowania. Prokuratura Generalna uznała, że sposób załatwienia sprawy przez Prokuraturę Powiatową w Piotrkowie (wniesienie aktu oskarżenia do sądu) wyraźnie koliduje z racjami społecznymi. Wprawdzie zachowanie się J. Kardasa — formalnie rzecz biorąc — wypełnia znamiona przestępstwa, to jednak, jeśli się zważy jego dobre intencje, jakimi się kierował udzielając pomocy obcemu, rannemu człowiekowi, jego dobrą opinię, oraz niewłaściwą reakcję lekarza, która przyczyniła się do konfliktu — należy uznać, że kierowanie sprawy na drogę sądową było niesłuszne.

Prokuratorom, którzy podejmowali decyzje w tej sprawie zwrócono uwagę w trybie służbowym.

Sprawa kierowcy taksówki, który po potrąceniu przechodnia odjechał z miejsca wypadku nie udzielając pomocy rannemu, jest przedmiotem wyjaśniania przez organa prokuratury.

Według informacji uzyskanych przez Prokuraturę Generalną, przeciwko lekarzowi Z. Krzysztofikowi prowadzone jest postępowanie dyscyplinarne.

RZECZNIK PRASOWY
PROKURATURY GENERALNEJ

(—) JANUSZ EKSNER
WICEPROKURATOR

nich nie zginęło”. Muskie jednak wypracowuje sobie szacunek, pozycję, właśnie wśród owych zatwardziałych zwolenników partii spod znaku słonia. Jest inteligentny, pracowity, niezależny w sądach a także, co tutaj szczególnie się liczy — solidny. I oto w 1954 roku, wbrew przewidywaniom i wszelkiej tradycji, zostaje wybrany gubernatorem. Powtarza się to po dwu latach. Jane Francis Muskie jest najmłodszą gubernatorową. Ale gubernator teraz mierzy wyżej. Na początku 1958 roku zgłasza swoją kandydaturę w wyborach na senatora do Kongresu Stanów Zjednoczonych. W listopadową noc tegoż roku, ówczesny prezydent Stanów, a zarazem przywódca Partii Republikańskiej D. Eisenhower, zapoznając się z wynikami wyborów wykrzykuje — „to niemożliwe: Demokrata, Katolik, Polak!” Bo od pięćdziesięciu lat, czyli od chwili, kiedy wybory do senatu stały się powszechne, nie było jeszcze Demokraty w Kongresie ze stanu Maine.

W senacie Muskie nie chce być jednak tylko znanym ze swojego sensacyjnego zwycięstwa. Jest więc współautorem wielu ustaw. Sam zaś przygotowuje głośną ustawę o slumsach. „Nasze miasta — jak mówi w Kongresie — są wspaniałym wykwitem geniuszu, a zarazem cierniową koroną, przywodzącą na pamięć jego porażki”. Po tym wystąpieniu Robert Kennedy stwierdził, iż było to najlepsze przemówienie, jakie kiedykolwiek słyszał w senacie. Natomiast znany kongresmen, Mike Mansfield uważa, że „Muskie to senator nad senatorami. Niewielu znam ludzi, którzy argumentują tak przekonywająco, że potrafią wyłącznie siłą swej logiki przeprowadzić ustawę o senacie”.

I to wpływa na decyzję Humphrey'a. Bierze do wyborów w 1968 roku Muskiego na wiceprezydenta, mówiąc wątpiącym: „Nigdy jeszcze nie dokonałem w polityce tak trafnego wyboru”. W toku kampanii Muskie nie unika trudnych, ciężkich spotkań: z młodzieżą, Murzynami i robotnikami. W collegu im. Waszyngtona i Jeffersona tak zwraca się do studentów: „Uważam wasze zaangażowanie i aktywność za źródło nadziei a nie rozpaczy dla społeczeństwa”. A w sprawie rozruchów murzyńskich i demonstracji antywojennych: „W obliczu wojny, krzywdy czy biedy obowiązek usprawiedliwiania swojego stanowiska spada nie na protestujących, lecz przede wszystkim na większość, która taki stan aprobuje”.

Humphrey—Muskie minimalnie przegrali, ale jak już zaznaczyliśmy, Muskie nie wyszedł z tej batalii pokonany. Dlatego też w przeddzień wyborów do Izby Reprezentantów i Senatu w 1970 roku Demokraci jemu powierzają główne wystąpienie przed kamerami TV. Przyczynia się ono do poważnego zwycięstwa, i to w obu Izbach. „The New York Times” pisze teraz: „Muskie w dobrej formie jest znakomitym szermierzem politycznym. Zaufanie wzbudza zarówno powściągliwym stylem wystąpień, jak i samym wyglądem. Na pewno nie można zaliczyć go do gladyszów”.

Cały rok 1971 Muskie intensywnie pracuje, przygotowując sobie grunt do tegorocznych wyborów. Odwiedza 33 stany, przemawia po kilka razy dziennie, odbywa spotkania ze społeczeństwem i politykami. Przelatuje 160 tysięcy km. Powołuje 22 lokalne komitety i centralny sztab akcji wyborczej. Nakłania wielu gubernatorów i bossów lokalnych do głosowania na swoją kandydaturę. Angażuje się na całego tym bardziej, że Edward Kennedy kategorycznie odmawia udziału w tegorocznych wyborach.

7 marca tego roku, w niewielkim stanie New Hampshire, odbyły się prawybory (praimaries), które nie tylko otwierają kampanię wyborczą w Stanach, ale przede wszystkim są barometrem wskazującym popularność poszczególnych kandydatów w społeczeństwie. Muskie, jak to donosiła prasa, wysunął się na czoło wśród Demokratów. Zatem jakie ma on szanse w tym wyścigu, gdzie główną wygraną stanowi „wielka waszyngtońska”?

Do niewątpliwych atutów Muskiego należą: zdrowy rozsądek, inteligencja, odpowiedzialność, solidność. Osoba jego nie była też nigdy dotąd wmieszana w żaden skandal ani aferę, które są dość częste wśród polityków amerykańskich. Poza tym posiada również doświadczenie administracyjne i parlamentarne. Znakomicie przemawia i dobrze prezentuje się. Jak zauważył pewien publicysta: „Wygląda rzeczywiście jak prezydent”. Niektórzy nawet doszukują się w nim lincolnowskiego wizerunku. Z kolei, z racji swoich poglądów zaliczany jest do centrum w Partii Demokratów. W najbardziej kontrowersyjnych sprawach jest zwolennikiem złotego środka. Przeto, jak trafnie zauważył angielski „The Economist”, jest kandydatem o umiarkowanych poglądach. Fakt ten na pewno pomoże mu zdobyć dużą część społeczeństwa.

Ma jednak senator z Maine także i swoje „ale”. Na pewno nie pomoże mu w tej twardej walce wyznanie, jakkolwiek Kennedy przełamał już tradycję. Następnie „in minus” działać będzie jego pochodzenie „ze słowiańskiej mniejszości”. Tradycja bowiem lubi szukać kandydata wśród anglosasów i protestantów. Nie mało też głosów odbierze mu owa umiarkowana postawa. Będzie za bardzo lewicowy dla prawicy i odwrotnie. Jednocześnie bowiem pamiętać należy, iż Muskie jest reprezentantem małego stanu, liczącego zaledwie niecały milion mieszkańców i mającego w kolegium elektorskim tylko cztery głosy. Wreszcie ostatnie „ale”, skromne środki finansowe jakimi rozporządza. W Ameryce przede wszystkim najokrutniej działa owe prawo trzech środków potrzebnych do uprawiania polityki „pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze”.

W pierwszy wtorek po pierwszym poniedziałku jak każe konstytucja, czyli w tym roku 7 listopada wielki wyścig do Białego Domu zostanie rozstrzygnięty. I jakkolwiek trudno jest z całą pewnością przewidzieć, czy Edmund Sykstus Muskie wygra wybory, to jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości. Będzie to jedna z najbardziej zaciętych kampanii wyborczych w historii Stanów Zjednoczonych.

JERZY WAWRZAK

WIZYTA

Przyszedł późnym wieczorem, przeszło godzinę po umówionym terminie. Była zła i nadąsana za to spóźnienie. Być może były to resztki niepokoju, że nie przyjdzie w ogóle, wycofa się w ostatniej chwili mimo danej jej obietnicy; ostatkiem woli broniła się przed tą nierozsądną próbą zbliżenia. Nie przyszła jej do głowy myśl, że Michał przez ten czas, spacerując wolno, z roztargnieniem po ulicach Złoczewa, zadawał sobie te same pytania, uparcie wyszukując wszystkie odpowiedzi na n i e, z których każda mimo swej niewątpliwej słuszności z każdą chwilą zamiast go hamować, odchodziła na plan dalszy, ginąc wreszcie bezpowrotnie.

I chociaż Katarzyna także do końca nie była przekonana, że powinna przyjąć tę propozycję, wymawiała ją sobie jako dowód nieznanej jej przedtem słabości, czekała z dreszczem nie znanego jej przedtem wzruszenia, z głuchym, bolesnym pulsem w skroniach wsłuchiwała się w kroki ludzi przechodzących klatką schodową, a kiedy wreszcie usłyszała umówiony po żartobliwych przetargach sygnał: dwa krótkie dzwonki i trzeci długi, odczuła ogromną ulgę, pierwsze wrażenie dokonania się czegoś nieodwracalnego.

Otworzyła jednak drzwi w chmurnym rozdrażnieniu, jakby jeszcze nie dowierzała, że stoi przed nią z niepewnym, zażenowanym uśmiechem, któremu ona jeszcze nie potrafiła wyjść naprzeciw, bo jej nieokiełznana już niczym radość przyszła dopiero w chwilę później, śmiała się, kiedy szklanki leciały jej z rąk, kiedy parzyła sobie palce wrzątkiem nalewając herbatę. Na szczęście tych przygotowań do kolacji jest niewiele, jest już właściwie wszystko, co powinno być, starannie przygotowane, wielokrotnie sprawdzone i ocenione krytycznym wzrokiem niezbyt doświadczonej gospodyni.

— Widzę, że przygotowałaś wielkie przyjęcie — Michał usiadł obok stołu na tapczanie — tylko, mój Boże, kto to wszystko zje.

— My — zaśmiała się Katarzyna — jestem głodna jak wilk. A tutaj mamy coś na apetyt — dodała, stawiając na stole pośród talerzy, salaterek, szklanek, półlitrową butelkę winiaku — chociaż ty podobno jesteś wojującym abstynentem. Tyle się nasłuchałam, z jaką zawziętością tępisz pijaków.

— A tak, tępię — odpowiedział niechętnie zabierając się do nalewania kieliszków, co widząc Katarzyna wybuchnęła śmiechem.

— Więc jak to jest? — zaczęła kpić.

— Normalnie — Gorczyn wcale nie zaprotestował czego się spodziewała — włączam się, kiedy to już przestaje być czyjąś prywatną sprawą, słabością na domowy użytek, a staje się początkiem takiego czy innego draństwa.

— A to? — uczyniła jakiś bliższy nieokreślony ruch głową.

— Zależy co masz na myśli? — odpowiedział pytaniem, nigdy nie uznawał niejasnych aluzji, uważając, że nie przystoją one poważnym partnerom i są bronią ludzi bojaźliwych i skrytych.

— Wiesz przecież — powiedziała już poważnie.

— To na razie jeszcze nic.

— A potem?

— Ładnie mnie witasz — podniósł się energicznie ze swojego miejsca, jakby za chwilę miał opuścić ten pokój — trzeba było od razu powiedzieć, żebym nie przychodził. Jeszcze nie jest za... — urwał widząc jej oczy.

— Chciałam, żebyś przyszedł.

— Więc?

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że nienawidzę pochopnych sądów. A ty mi wyglądasz na takiego narwańca.

— Idę stąd, do diabła! — ruszył w stronę drzwi i byłby zapewne wyszedł wbrew swojej woli, gdyby nie zatrzymała go i z powrotem nie posadziła przy stole.

— Nie rób z siebie głupca, Michał — podniosła pierwsza kieliszek — wypijmy za dzisiejsze spotkanie. Żeby było ostatnie — spojrzała mu prosto w oczy, ale Gorczyn był już spokojny i nie dostrzegła w nich żadnej reakcji.

— Nie lubisz mnie — odpowiedział spokojnie — coś musi być we mnie takiego, co ci gra na nerwach.

— Chyba tak, tylko nie wiem co. Może ta aureola, ten cały, fałszywy chyba, złoczewski mit wokół twojej osoby.

— Chcesz go, widzę, obalić.

— Nie, może tylko po prostu sprawdzić.

— Dziękuję ci za szczerość, Katarzyno. Tylko jedno wiedz: nie ma wokół mnie i wokół mojej osoby nic fałszywego... W każdym razie dotąd nie było — dodał widząc jej ironiczne skrzywienie warg.

— Nic takiego zresztą nie chciałem stwarzać... Wypijmy więc za pogrzebanie wszystkich mitów, są zupełnie zbędne.

— Wypijmy, ale wcale nie powiedziałam, że chcę tego... Co za wagę mają wznoszone toasty?

Siedzieli przy przeciwległych krawędziach długiego stołu, co wyglądało dość groteskowo, połykając z apetytem te wszystkie wspaniałości, przekomarzali się już bez złośliwości przy toastach, prowadzili między sobą ową słowną grę znaną już przynajmniej od kilku tysięcy lat.

Dosyć już tego obżarstwa — powiedział wreszcie Michał i wyciągnął papierosy.

— Tak — zgodziła się — czas na kawę... Ja też palę, mój drogi.

— Przepraszam — mruknął nieco speszony, podsuwając jej zbyt gorliwie paczkę z grunwaldami.

— To drobiazg — uniosła znowu z rozbawieniem brwi — ludzi, z którymi żyję na co dzień, zaskakuję większymi niespodziankami. Bez przerwy, tak, mam to chyba już we krwi. I musisz o tym zawsze pamiętać, towarzyszu, i nie protestować, jeśli chcesz żyć ze mną w zgodzie.

Kiedy zapalił zapałkę i Katarzyna zaczęła przypalać swojego papierosa, Michał także pochylił się nad tym wątłym płomykiem.

— O, Chryste — westchnęła błazeńsko — skąd się w tobie bierze skłonność do takiej romantycznej dziecinady. Szkoda, że nie wiedziałam wcześniej, mogłam zgasić światło i zapalić świece. I puścić w ruch magnetofon z jakąś sentymentalną muzyczką.

„Szarpiesz się, jakbyś była już w sieci, dziewczyno — myśli bez gniewu Gorczyn — jakbyś była ze wszech stron osaczona i nie widziała żadnej możliwości ratunku. Bronisz się przed czymś, czego gorąco, chociaż na swój sposób, pragniesz, jakbyś się bała każdej najmniejszej swojej decyzji...".

Katarzyna nadal próbowała wytrzymałości jego nerwów, jak się za chwilę okazało, sama wpadając w zastawione sidła.

— Skąd masz tę płytę? — zapytał.

— Przywiózł mi jeden znajomy z NRF... Piękna, prawda — melodia i ją powoli zaczęła wytrącać z przyjętej pozy.

Śpiewała Marlena Dietrich:

— Nie mogę tego słuchać — powiedziała Katarzyna, kiedy śpiew się urwał i igła adapteru zaczęła zgrzytać po zużytej już mocno płycie.

— Piękna — powiedział Michał cicho, ze skupieniem. Czuł, jak ta cała dotychczasowa atmosfera beztroskiej zabawy odpływa i przechodzi w chwilę trudnych pytań i jeszcze trudniejszych odpowiedzi.

— Przejmujący jest ten żałosny zaśpiew za minionym światem, autentyczny, jeśli nie jej, to ich... „Gdzie są chłopcy z tamtych lat" — powtarza fragment refrenu — ...Wystarczy przeczytać pierwszy lepszy reportaż o tym, co się tam dzieje.

— Ty, Michał, jesteś w gruncie rzeczy nieszczęśliwym człowiekiem — uśmiechnęła się blado, starając się niby to żartować, a jednocześnie powiedzieć swoje.

— Dlaczego? Że mnie ta piosenka nie wzrusza?

Rys. L. Woźnicki

— Jest piękna.

— Ubolewasz, że nie ma we mnie żadnej wrażliwości na piękno. Tak chyba nie jest, ale...

— Właśnie to „ale", to twoje patrzenie na każde zjawisko przez ten szczególny pryzmat, ta nieustanna klasyfikacja na to co z tobą, a co przeciw tobie. Dla mnie każda sztuka, jeśli przemawia do mojej wyobraźni, jest wartością sama w sobie, godną zachwytu bez żadnego zastanawiania... Ta piosenka we mnie też wzbudza żal.

— Za czym?

— Nie wiem. Nie potrafię tego określić, ale czuję go w sobie. Nikomu nic nie zazdroszczę: żonom mężów i dzieci, dorobkiewiczom pieniędzy, artystom sławy, dyktatorom władzy. A jednak przychodzą takie chwile, że to mnie napada jak choroba.

— To chyba żal, wybacz, może zabrzmi to banalnie, a tego boimy się jak ognia... za miłością. Za tą pierwszą niedobrą, zmarnowaną, która jednak nie wróci. Albo, której nigdy nie było.

— Gorsza jest świadomość, że wszystko, co się w człowieku zaczyna, ma swój kres, prędzej czy później musi umrzeć. A my zbieramy kolejne rozczarowania, coraz bardziej zgorzkniali, nieczuli i cyniczni, coraz podobniejsi do dwunożnych stworów.

— Nie mogę się z tym zgodzić, Kasiu — wziął ją delikatnie za rękę — całe życie byłem przeciw takim poglądom, walczyłem z nimi, i, nie bawiąc się w kaznodzieję, próbowałem przekonywać ludzi, że w tym wszystkim jest jakiś większy sens i odnalezienie go tylko od nich samych zależy.

— Przestań, Michał — powiedziała z wyraźnym zniechęceniem.

— Nie masz racji, nie masz — zaczynał się gorączkować — nie pozwolę ci tak myśleć. Życie nie jest tak w gruncie rzeczy skomplikowane jak to się wydaje różnym filozofom i nieudacznikom.

— To się tak łatwo mówi, przypomnę ci kiedyś.

Zapadło między nimi długie, przygnębiające milczenie. Palili papierosy, Katarzyna włączyła na powrót adapter. Michałowi mocno ciążyło to milczenie, ale nie miał w pogotowiu żadnych sensownych słów, aby je skutecznie przerwać. Czuł się tu niepotrzebny, cała ta wizyta od początku do końca zaczęła mu się wydawać jednym wielkim nieporozumieniem.

„Jeszcze jest czas, żeby stąd wyjść, pożegnać się i nigdy nie wracać. Spełnić jej nadzieję, którą ona zaraz na początku niby z przekory wyraziła. Odejść i przekształcić ten stosunek w zwykłą znajomość, jakie się codziennie zawiera dziesiątkami, i które nie mają żadnego znaczenia. Tylko ja już pewnie nie potrafię uczynić tego kroku — przymyka oczy, od alkoholu lekko kołuje mu się w głowie — już się wokół mnie ta cała sprawa owinęła jak pętla, a ja nie czuję za grosz siły woli, żeby ją rozerwać. I, na Boga, nie chcę tego, nie chcę".

Odwraca się do siedzącej obok Katarzyny i zachłannie przygarnia ją ramieniem, potem długo, do utraty tchu, gwałtownie i niezdarnie jak młody chłopak miażdży jej wargi w pocałunku, w którym mieści się cały jego protest przeciw jej słowom, cała jego bezradność, paniczna rozpacz i maleńka iskierka nadziei.

— Pójdę już — próbuje jeszcze rozpaczliwie chwycić się tamtej, zdawałoby się, zbawczej myśli, ale jest to już ostatnia próba, bo Katarzyna mówi:

— Nie, Michał, nie odchodź... Nie, tylko nie to... Nie teraz — ale on już tych słów nie słyszy, a tamtą, pierwszą próbę także rozumie opacznie, czego długo nie może sobie darować.

— Nie, nie chcę — powtarza Katarzyna, kiedy jakimś cudem udaje jej się wywinąć spod jego ciężkiej piersi i staje na podłodze poprawiając odruchowym gestem włosy.

— Przestań — oddychał z trudem — do czego chcesz mnie doprowadzić?

— Słuchaj — podeszła znowu bliżej — to nie jest żadną grą. Ja mam dobrze, spokojnie ułożone życie. I ty, nikt nie ma prawa burzyć mi tego spokoju — i w tym momencie zawiodły ją nerwy — ja nie chcę, rozumiesz! — prawie krzyczy — Nie chcę!

Michał ukrył twarz w dłoniach, ten jej histeryczny krzyk obudził w nim coś nowego, coś, co zamiast odwrócić go od tej kobiety, przyciągało i tylko wzruszenie nie pozwalało dać temu upust w słowach. Przetarł chusteczką twarz lepką od potu, rozpiął kołnierzyk koszuli, bezwiednie, nie zdając sobie nawet sprawy z tych czynności. Na ścianie naprzeciw cień Katarzyny trząsł się jak w paroksyzmie śmiechu lub płaczu, wreszcie przesunął się w mroczną część pokoju. W nim także coś osuwało się, uciekało w przepaść, która nie ma dna, w coś miałkiego i nieokreślonego, zostawiając po sobie wielką, czystą próżnię, gotową przyjąć największy ciężar. I zaraz potem przyszło uspokojenie, zupełnie niezrozumiała uległość wobec tej kobiety, rezygnacja z prawa jej posiadania, które mu w pewnym sensie dała, zapraszając do siebie.

— Przepraszam — powiedział cicho — może masz rację. — I zaraz wziął na siebie obowiązek przerwania tego kłopotliwego milczenia. — Herbaty jednak moglibyśmy się jeszcze napić.

— O tym samym myślałam — podchwyciła skwapliwie — zaraz nastawię wodę.

— Pomogę ci — wstał i poszli razem do kuchni — nie chcę być zbyt kłopotliwym gościem.

Było tu kilka najbardziej niezbędnych sprzętów: kuchenny kredens, wiszące na ścianie szafki, mały stolik i dwa taborety, wreszcie gazowa turystyczna kuchenka. W kącie stał rozstawiony leżak w czerwono-zielone pasy. Michał rozsiadł się w nim wygodnie, z wnęki kredensu wyciągnął pierwszy z brzegu kolorowy magazyn. Dość długo przyglądał się okładce, miał na to czas, bo Katarzyna manipulowała przy gazie i nie zwracała na niego uwagi. Mimo woli zaczął je porównywać, Katarzynę i modelkę z magazynu prezentującą swoje wdzięki w kusej czerwonej sukience z białym koronkowym kołnierzykiem i takimi samymi mankietami. Przypomniał sobie, że Katarzyna w podobnej sukience, tylko ciemnozielonej, była na spotkaniu w klubie.

„Nigdy właściwie nie zwracałem uwagi na to, jak ubiera się Elżbieta, za Boga nie pamiętałem, jak na przykład była ubrana w ostatnią niedzielę" — wzdryga się przed dalszymi porównaniami i mówi, żeby odpędzić od siebie te nieprzyjemne, natrętne skojarzenia.

— Gdybym cię nie znał bliżej, pomyślałbym, że jesteś taka sama malowana lala jak ta — wyciągnął rękę z gazetą — taka, z którą człowiek miałby się ochotę zdrowo zabawić, ale nazajutrz nie ukłoniłby się na ulicy. Do której można by zajść w jakiś beznadziejny wieczór, ale nie po to, by prowadzić przemądrzałe dialogi... Cieszy mnie to, że nie jesteś taka — dodaje poważnie — że pod tą politurą jest w tobie człowiek.

Położyła mu dłoń na głowie i zaczęła delikatnie mierzwić jego gęste, krótko przycięte włosy, siwiejące już na skroniach.

— Chciałabym, żeby tak nie było, lepsza jest ta pustka, nijakość. Bez problemów, kompleksów, ambicji, nadziei i innych podobnych idiotyzmów. Marzę o tym — dodała, ale jej uśmiech przeczył słowom, tak, że zwalniało to Michała od protestu, nawet kiedy Katarzyna dodała: — Powiedz sam, co ty masz z tej nieustannej walki? Świata i tak nie zmienisz. Nie wiadomo, ile dałbyś z siebie, a i tak zawsze będziesz zbierał deszcz w sita... Chociaż czasami podobni tobie maniacy pchają ten cholerny świat naprzód... Dosyć o tym. Oto nowy rekwizyt — otworzyła kredens i wyciągnęła z niego pękatą butelkę ozdobioną trzema gwiazdkami.

— „Chain Bridge" — czytał Michał, kalecząc słowa — nie znam się na tym, ale zdaje się jest to coś specjalnego.

— Żebyś wiedział, to cała historia — śmiała się. — Któregoś wieczoru... Nie, nie powiem nazwiska... Przyszedł do mnie pewien facet, przyniósł właśnie to, tabliczkę czekolady i... oświadczył się o moją rękę... Czekoladę, niestety zjadłam... Wyobrażasz sobie tę scenę — śmiała się prawie do łez — ja biedna, wystraszona i ten gość mamroczący coś głupawo o miłości, o mojej urodzie, dobroci... Brakowało, żeby padł na kolana... Trzymałam to jak relikwię przez tych kilka miesięcy... Rzeczywiście jestem dobra dla ciebie, jeśli chcę zniszczyć ten eksponat. Przecież to jakby symbol: dowód powodzenia, szansy na przyzwoite zamążpójście i tak dalej, prawda?

— Jesteś złym człowiekiem, Kasiu — Michał bawił się razem z nią, ale nie byłby sobą, gdyby jej nie powiedział tych słów — śmiejesz się z czyjejś udręki, z nie spełnionej nadziei, być może prawdziwego uczucia.

— Jak będziesz tak dalej mówił — w twarzy Katarzyny widać już wpływ wypitego alkoholu — to jutro do niego zadzwonię i każę mu dać na zapowiedzi.

— A mnie zaprosisz na pierwszego drużbę, niech będzie.

Wrócili do pokoju już w zupełnie odmiennym nastroju niż go opuścili i tak samo przebiega późniejsza długa rozmowa przy herbacie i koniaku. Dopiero po jakimś czasie Katarzyna, podchodząc do adapteru, rzekła:

— Puszczę jakąś muzyczkę, dobrze?

— Tylko zostaw tamtą...

— Nie martw się — nie pozwoliła mu dokończyć — jestem już po twojej stronie.

— Tak? — spotkali się na dłużej spojrzeniami.

— Tak, jak powiedziałam — wytrzymała jego wzrok. Michał wyłączył nocną lampkę znad tapczanu i pamiętając, w którym stała miejscu, poszedł wolno w jej kierunku. Czekała na niego, chociaż z łatwością mogła zrobić i ten unik, wyminąć go w tej krótkiej drodze i zapalić z powrotem światło.

— Więc chyba musi tak być, Michał — powiedziała cicho, ledwo dosłyszał jej słowa, kilka cicho wypowiedzianych słów, które zadecydowały o wszystkim.

— Musi — powtórzył — nie ma na to żadnej rady.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU

29 marca br. rozstrzygnięto konkurs zamknięty na oryginalne słuchowisko radiowe, zorganizowany przez: Redakcję Audycji Literackich Rozgłośni Łódzkiej, Wydział Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi oraz Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi.

Jury pod przewodnictwem Wacława Czynczysa (Red. Naczelnego Redakcji Audycji Literackich Polskiego Radia w Warszawie) w składzie: Jadwiga Pilichowska (Kier. Wydz. Kultury Prez. WRN), Wojciech Boczkowski (Kier. Wydz. Kultury Prez. Rady Narodowej m. Łodzi), Edward Szuster (Red. Naczelny Łódzkiego Ośrodka Telewizji), Tadeusz Szewera (Z-ca Red. Naczelnego Łódzkiej Rozgłośni PR), Stefan Kubicki (Kierownik Red. Audycji Literackich Łódzkiej Rozgłośni PR) przyznało:

I nagrodę słuchowisku pt. **Zawał"** — autor **ROMAN ŁOBODA** (godło „Cedr") w wysokości 8.000 zł,

II nagrodę słuchowisku pt. **„Horoskop na jutro"** — autor **HONORATA CHRÓŚCIELEWSKA** (godło „Orion") w wysokości 6.000 zł,

III nagrodę słuchowisku pt. **„Pomnik dla szczęśliwych"** — autor **KAROL OBIDNIAK** (godło „Pomnik dla szczęśliwych") w wysokości 4.000 zł,

oraz dwa równorzędne wyróżnienia:

Ewie Ostrowskiej (godło „Dziesięć") za słuchowisko pt. **„Pogrzeb był cichy, ludzie nie płakali"** — w wysokości 2.000 zł, **Władysławowi Orłowskiemu** (godło „No Parking") za słuchowisko pt. **„Papua"** — w wysokości 2.000 zł.

WIELKI KONKURS ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZMW I REDAKCJI TYGODNIKA „NOWA WIEŚ"

Zwracamy się do wszystkich, którzy po zdobyciu wykształcenia osiedlili się na wsi, bądź tu powrócili — z propozycją udziału w wielkim konkursie na pamiętnik „Z dyplomem na wieś". Człowiek z dyplomem przestał być na wsi rzadkością. Zmieniły się też jego zadania i pozycja. Nie jest już samotnym Judymem — cierpiętnikiem poświęcającym się dla „ogółu". Jest po prostu niezbędny.

Od uczestników konkursu oczekujemy, aby w swoich wypowiedziach zawarli uwagi na temat miejsca i roli ludzi z dyplomem w życiu społecznym, kulturalnym i gospodarczym wsi oraz zadań, jakie widzą dla siebie i sposobów ich realizacji.

Udział w konkursie wezmą ci wszyscy, którzy nadeślą pisemną wypowiedź pamiętnikarską „Z dyplomem na wieś". Ostateczny termin nadsyłania pamiętników upływa z dniem 30 maja 1972 roku. Jesienią nastąpi ogłoszenie wyników konkursu.

Prace konkursowe, napisane czytelnie i zawierające dokładne dane o autorze (imię i nazwisko, wiek, miejsce urodzenia, wykształcenie, przebieg pracy, gospodarstwo, dokładny adres zamieszkania, stanowisko i pełnione funkcje społeczne itp.) należy nadsyłać pod adresem: Redakcja „Nowej Wsi", Warszawa, ul. Wiejska 17, z dopiskiem na kopercie „Z dyplomem na wieś".

Na autorów najlepszych prac czekają nagrody:

I nagroda	**— 5 tysięcy zł.**
II nagroda	**— 3 tysiące zł.**
Dwie III nagrody po	**— 2 tysiące zł.**
Cztery wyróżnienia po	**— 1 tysiąc zł.**

Ponadto 100 nagród rzeczowych i upominków do rozlosowania pomiędzy wszystkich uczestników konkursu (zegarki, książki, płyty, reprodukcje obrazów itp).

Rękopisów nie zwracamy. Najlepsze prace zamierzamy opublikować w „Nowej Wsi" i w książce, a ich autorzy otrzymają honoraria.

ALEKSANDER WILKANOWSKI

Ciekawe i pożyteczne wydawnictwo

Na półkach księgarskich ukazało się interesujące wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Historycznego, Oddziału Łódzkiego — „Województwo Łódzkie 1919—1969". Jak podkreślają we wstępie autorzy, województwo łódzkie może się poszczycić bogatą przeszłością, pełną ciekawych i ważnych wydarzeń, które miały znaczenie nie tylko dla regionu, oddziaływały również w poważnym stopniu na dzieje całego kraju.

Badania nad przeszłością Łódzkiego rozwijały się jednakże do lat trzydziestych XX wieku dość skromnie. Zmiany na lepsze nastąpiły dopiero po założeniu w Łodzi Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, wydającego od 1929 r. własne pismo.

Zasadniczy przełom nastąpił jednakże po 1945 r., w którym to roku władze Polski Ludowej powołały do życia Uniwersytet Łódzki. Wokół grona zatrudnionych w nim historyków skupili się pracownicy Archiwum Państwowego, Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego, pracownicy Referatów Historii Partii KW i KŁ i inni. Dzięki tej współpracy, szeroko zakrojonych badań, wyszło wiele opracowań, które poszerzają wiedzę o regionie.

Zbiór otwiera artykuł doc. dr Barbary Wachowskiej pt. „Pierwsze dwadzieścia lat województwa łódzkiego 1919—1939" (próba zarysu dziejów, postulaty badawcze). Autorka omawia bardzo szczegółowo powstanie województwa, zasięg terytorialny, stosunki demograficzne, trudności kadrowe w obsadzaniu stanowisk wojewody, zrekonstruowała pełną listę wojewodów łódzkich, podając przy tym wiele ciekawych danych biograficznych. Szeroko potraktowała życie polityczne, działalność partii politycznych, kampanie wyborcze do Sejmu i Senatu, życie gospodarcze, walki strajkowe, bezrobocie oraz trudną sytuację na wsi łódzkiej itp.

Obok tych walorów cenne jest postawienie szeregu postulatów badawczych i wytyczenie kierunków badań w najbliższym okresie, po zrealizowaniu których zniknęłoby wiele „białych plam". Do najważniejszych postulatów badawczych należy: potrzeba szerszego podjęcia badań nad historią KPP w województwie, działalnością Niezależnej Partii Chłopskiej, „Związku Siły Chłopskiej" czy „Zjednoczenia Lewicy Chłopskiej — Samopomoc", Komunistycznym Związkiem Młodzieży Polskiej i OMTUR oraz nad kampanią bojkotową oraz wyborami do parlamentu w 1935 i 1938 i inne.

Artykuł mgr Włodzimierza Kozłowskiego pt. „Wrzesień 1939 w województwie łódzkim" na podstawie licznych opracowań, materiałów źródłowych, zarówno polskich, jak i niemieckich, omawia: działania Armii „Łódź" (od 1. IX. do 6. IX.), przebijanie się Armii „Łódź" ku Wiśle, bitwę nad Bzurą (od 9. do 17. IX.).

Mgr Tadeusz Czapliński i mgr Mieczysław Kołodziejczak omówili problematykę województwa łódzkiego w okresie hitlerowskiej okupacji, m. in. początki okupacji i zbrodnie Wehrmachtu, hitlerowską politykę eksterminacji, początki i rozwój ruchu oporu, działalność PPR i jej walkę z okupantem, działalność konspiracyjnych rad narodowych.

Mimo, iż ten okres ma bogatą literaturę naukową, należało jednak w tym syntetycznym ujęciu szerzej omówić inne organizacje bojowe, działalność stronnictw politycznych.

Dużą wartość przedstawia opracowany przez mgra Tadeusza Czaplińskiego wykaz egzekucji wykonanych w województwie łódzkim przez Wehrmacht, SS, żandarmerię, gestapo i inne formacje hitlerowskie w latach 1939—1945. Wykaz ten oparto na szerokiej bazie źródłowej i opracowaniach naukowych. Dość dużo jest jednak w niej niedomówień. Dlatego niezbędnym jest kontynuowanie tych badań przez Okręgową Komisję do Badania Zbrodni Hitlerowskich, jak przez Komisje Historyczne przy Zarządach ZBoWiD.

Wiele ciekawych materiałów o liczebności, uzbrojeniu oraz szybkości i tempa natarcia oddziałów radzieckich, wyzwalających nasze województwo przedstawia mgr Włodzimierz Kozłowski w artykule „Ofensywa stycznia 1945 r. na obszarze województwa", bardzo cenny jest aneks, w którym zawarte są daty wyzwolenia miast, miasteczek i niektórych wsi naszego województwa.

Tom zamyka artykuł doc. dra Stefana Banasiaka, który przedstawił województwo w okresie Polski Ludowej ze szczególnym uwzględnieniem powstania i utrwalenia władzy ludowej, przeprowadzeniem reformy rolnej i walkę z reakcyjnym podziemiem, referendum ludowego z czerwca 1946 r., wyborów do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1947 r., oraz zmian demograficznych, granic województwa itp. Obok wyżej wymienionych problemów autor omawia działalność partii politycznych i organizacji młodzieżowych w latach 1945—1948 — PPR, PPS, SD, ZMW, OMTUR, SL, ZMW „Wieś" itp.

Autor sygnalizuje wiele problemów badawczych, które w najbliższym okresie trzeba podjąć i naukowo opracować.

W sumie, jako cenną publikacja, która poszerza wiedzę o regionie stawia wiele cennych postulatów badawczych i jak najszybciej powinna znaleźć się w bibliotekach publicznych, szkolnych, wśród działaczy politycznych i w szerokim gronie miłośników historii naszego regionu.

Polskie Towarzystwo Historyczne, Oddział w Łodzi. „Województwo Łódzkie 1919—1969, Studia i materiały" pod redakcją Ryszarda Rosina, Łódź 1971, str. 171, cena 25 zł.

Fot. R. Jaworski

Przeszłość i teraźniejszość

Cudzoziemcy o Polsce

Od dłuższego już czasu zamierzałem ustosunkować się do pięknie wydanej przez krakowskie Wydawnictwo Literackie dwutomowej antologii Jana Gintla „Cudzoziemcy o Polsce. Relacje i opinie" (1971). Potrzeba opracowania tego rodzaju antologii nie ulega oczywiście najmniejszej wątpliwości i nie o tym pragnąłbym pisać. Również nie chodzi mi o to, że wydawnictwo jest dalekie od kompletności. Nie można zgłaszać co do tego pretensji nie tylko dlatego, że każdemu wydawcy przysługuje prawo własnej selekcji materiału, lecz również ze względu na ogromną obfitość obcych tekstów o naszym kraju, których objęcie, choćby tylko w podstawowym zespole, wymagałoby wielu grubych tomów. Nie jest zresztą J. Gintel jedynym autorem, którego te sprawy pasjonują, a jego dzieło nie jest jedyną dostępną publikacją, przynoszącą relację cudzoziemców o Polsce. Przypomnijmy, że dysponujemy pięknym dwutomowym zbiorem opracowanym przez Władysława Zawadzkiego pt. „Polska stanisławowska w oczach cudzoziemców", że antologia „Marks i Engels o Polsce" doczekała się niedawno drugiego kolejnego wydania, że w NRD ukazało się przed laty dziełko Manfreda Haeckela „Fuer Polens Freiheit", w którym zebrano niemieckie, życzliwe Polsce głosy z ostatnich ośmiuset lat. Jest wreszcie wiele publikacji dawniejszych, by wymienić prace J. U. Niemcewicza, E. Rykaczewskiego, S. Broel-Platera, K. Liskego i wiele, wiele innych.

Chodzi mi bowiem o sprawę w mym przekonaniu najistotniejszą, mianowicie o poprawność publikowanych w antologii J. Gintla tekstów. Pod tym właśnie względem nasuwa ona sporo wątpliwości. Weźmy na przykład tom pierwszy i teksty z czasów średniowiecza. Dlaczego publikując arcyciekawą relację o Polsce Gilberta de Lannoy posłużył się J. Gintel starym tłumaczeniem Joachima Lelewela, opartym o niezbyt poprawny tekst oryginału? Istnieje przecież krytyczne, doskonałe wydanie tekstu i jest ono dostępne w Polsce, należało więc skonfrontować dawne tłumaczenie z poprawną edycją i w ten sposób usunąć nieuniknione w innym wypadku pomyłki. Nie mówię już o konieczności wyzyskania odpowiedniej naukowej literatury. Dlaczego relacja Eneasza Sylwiusza Piccolomini została w książce J. Gintla oparta o zdecydowanie niedobre tłumaczenie zawarte w zbiorze J. U. Niemcewicza i nie skonfrontowano jej z dostępnym w większych polskich bibliotekach oryginałem łacińskim? Dlaczego publikując arcycenną opowieść Ambrożego Contariniego wydawca posłużył się również przekładem Niemcewicza i nie pomyślał, aby choć rzucić okiem na tekst oryginalny? Rozumiem, jest on niezmiernie trudny do uzyskania, brak go w licznych wielkich bibliotekach europejskich, ale jeden egzemplarz znajduje się wszak w kraju, i to w Krakowie, w Bibliotece Czartoryskich.

Tymczasem nawet pobieżny rzut oka na tekst oryginału włoskiego uświadomiłby wydawcy, że tłumaczenie polskie nie jest w pełnym tego słowa znaczeniu przekładem, ale parafrazą, i to w dodatku wielce dowolną.

Pisał o tym zresztą jeden ze wspomnianych przez J. Gintla w jego książce współczesnych historyków polskich. Zasłużony pisarz, wydawca źródeł, historyk i zbieracz, jakim był Niemcewicz, opracowując bowiem swój tekst relacji Contariniego nie tylko dokonał w nim licznych, bezzasadnych skrótów, ale wprowadził je nie bez określonej tendencji. Pousuwał mianowicie liczne wypowiedzi krytyczne o Polakach, przede wszystkim o dostrzeganym przez Włocha ubóstwie niektórych dzielnic kraju, pozostawiając oczywiście wszystko, co było dla nas pochlebne. Tego rodzaju „metody wydawnicze" praktykowano przed wieloma laty i nawet wówczas nie uważano ich za dobre. Nie ma chyba żadnego powodu, aby hołdować im dzisiaj.

Nie chciałbym mnożyć dalszych przykładów. Wspomnę tylko, że podobnym „pochlebnym" retuszom poddane zostały niektóre teksty zawarte w wydawnictwie E. Rykaczewskiego, dziś bezkrytycznie powtórzone przez J. Gintla. Jeżeli więc antologia przynosi teksty niepoprawne, jaka jest jej wartość? Przyznaję, że nie sprawdzałem przekazów, odnoszących się do czasów nowszych. Zdaje się, że zostały one opracowane nieco lepiej. Ale już to, cośmy rzekli, uprawnia do stwierdzenia, że dzieło mogłoby mieć nierównie większą wartość, gdyby bardziej zadbano o poprawność zamieszczonych w nim tekstów.

Wydawca tłumaczy się na wstępie, że nie jest specjalistą od tysiąca lat dziejów Polski, że językowy pietyzm skłonił go do przedrukowania dawnych tłumaczeń itd. Wszystko to rozumiem, ale czemu, jeśli się nie jest specjalistą, nie sięga się do fachowej literatury, aby uniknąć pomyłek? Przecież ogłaszanie tłumaczeń niezgodnych z oryginałami jest zwykłym wprowadzaniem czytelnika w błąd. Oczywiście, nikt nie zdolny jest wiedzieć wszystko, ale nie sposób dlatego aprobować dyletanctwo. Niestety nie uniknął go ani J. Gintel, ani Wydawnictwo Literackie. Gdyby wydawca lepiej znał się na tym, czym się zajął, nie pisałby np. o Lannoy, że był błędnym rycerzem, skoro biografia tej postaci jest doskonale znana, nie twierdziłby też, że jego przekaz napisany jest „niezdarną" francuszczyzną. Toć to język XV wieku, nie dzisiejszy, a opis podróży Lannoy uchodzi wśród badaczy dawnej literatury francuskiej za dzieło jeśli nie wybitne, to w każdym razie nieprzeciętne. I o czym tu pisać dalej?

JÓZEF GRZEBAK

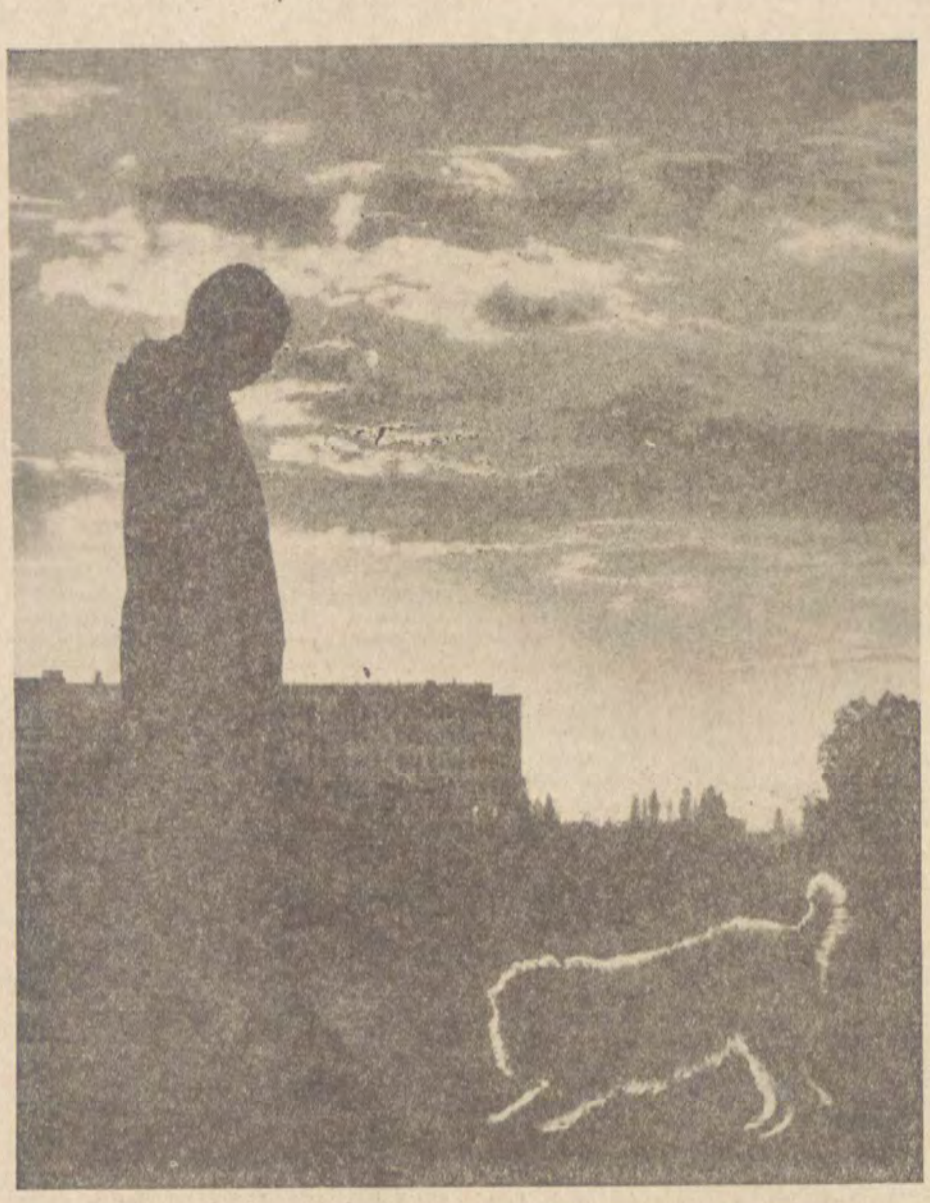

Fot. J. Prajs

KAROL BADZIAK

LESZEK FATALNY

Prawo jest dziedzina, która często pozwala czerpać satysfakcję z samego faktu, iż się nie jest sędzią. Właśnie ostatnio zdarzyło mi się coś podobnego w momencie, gdy zapoznałem się z historią 11-letniego Leszka P., którego usiłuje zaadoptować własny ojciec. Nieczęsto zdarza się taka sytuacja, ażeby ojciec musiał występować do sądu o przysposobienie własnego syna i to z prawego łoża. Przynajmniej najstarsi sędziowie w naszym kraju nie pamiętają takiego przypadku. A jednak...

Ażeby było oryginalniej dodam, że równocześnie do tego samego sądu wystąpiła z prośbą o przysposobienie Leszka P. całkiem obca, bezdzietna kobieta. Zdawałoby się z pozoru, że lepiej dla dziecka, iż o opiekę nad nim dorośli walczą, niż gdyby było odwrotnie. Ale to tylko pozory, w gruncie rzeczy sytuacja dziecka, które dorośli wyrywają sobie z rąk jest prawie taka sama, jak sytuacja dziecka, którego chcą się pozbyć.

W „Kaukaskim kredowym kole" analogiczny dylemat monarcha rozsądził w wiadomy nam sposób. Nie możemy jednak od prezesa sądu powiatowego w Łasku domagać się tego samego, co od charyzmatycznego władcy. Różnica jest zasadnicza, taka mniej więcej, jak między sztuką i to w dodatku w teatrze, a życiem i to w dodatku dziecka. Nie mamy dostatecznej gwarancji, że metoda zastosowana w teatrze zda egzamin w prozaicznej rzeczywistości. Zbyt duże ryzyko zawarte jest w takim eksperymencie.

Jak do tej skomplikowanej sytuacji doszło?

Otóż matka Leszka P. zmarła w czasie jego narodzin. Był to jej czwarty syn. Ojciec miał dość kłopotów zwłaszcza materialnych, z pozostałą trójką nieletnich budrysów, więc chętnie przystał na propozycję bliskiej rodziny, która wyraziła chęć adopcji niemowlęcia. Przemawiał również za tym fakt, że małżeństwo, które zaofiarowało kilkumiesięcznemu Leszkowi swe usługi rodzicielskie, raczej nie mogło spodziewać się własnego dziecka, a tym samym odpadał ewentualny konkurent w wyścigu do ich rodzicielskich uczuć. Rzecz była o tyle sprawdzona, że małżonka w tej nowej rodzinie była o jakieś dwadzieścia lat starsza od męża, który był jej mężem ponownym. Pierwszy bowiem zginął w wypadku drogowym. Drugi związek tej damy wynikał raczej nie tyle z wzniosłych uczuć, co z chęci zachowania w ścisłym gronie rodzinnym pewnych dóbr materialnych.

Pech jednak chciał, że i przyrodnia matka w krótkim czasie poszła w ślady matki naturalnej. Młody wdowiec szybko postarał się o zastępstwo. Kolejna, czyli już trzecia z rzędu matka małego Leszka, w tym druga przyrodnia, czyli druga żona drugiego męża zmarłej okazała się bardziej produktywna demograficznie i wkrótce powołała na świat własną córkę. W swym oschłym sercu nie znalazła zbyt wiele miejsca dla Leszka, co spowodowało szereg konfliktów między małżonkami. W rezultacie opuściła męża i wyjechała z córką do dużego miasta. Mężczyzna został z Leszkiem nadal w małym mieście, no i jak to w małym mieście (w dużym zresztą też) wrócił do pierwszej miłości z lat szkolnych. Dał w ten sposób dowód, rzadko spotykanej wśród mężczyzn mądrości, którzy przeważnie najpierw żenią się z miłości, potem z rozsądku a w końcu z przyzwyczajenia, gdy tymczasem kolejność w racjonalnym cyklu matrymonialnym powinna być następująca: najpierw małżeństwo z rozsądku, potem z przyzwyczajenia, a dopiero po raz trzeci — z miłości.

Niestety, kiedy nasz szanowny małżonek zmierzał akurat do trzeciego etapu i był w trakcie załatwiania formalności rozwodowych ze swą drugą żoną, której był pierwszym mężem, zginął tragicznie w wypadku drogowym.

W ten sposób mały Leszek stracił w stosunkowo krótkim czasie pierwszą matkę (zmarła) drugą matkę (zmarła), trzecią matkę (odeszła), ojca naturalnego (który się go zrzekł), ojca przybranego (zmarł tragicznie), ale zyskał, na szczęście czwartą matkę, która się okazała potencjalna trzecia żona drugiego ojca. Ta właśnie pani serdecznie się nim zaopiekowała. Jednakże jego opiekunem prawnym został brat przybranego ojca.

Jak widać chłopak zdołał się już oswoić ze śmiercią wielu bliskich mu osób, które kolejno tracił, w zamian zyskał jednak pokaźny spadek. W tym momencie na arenę wystąpił naturalny ojciec, który zdążył się, oczywiście, po raz drugi ożenić, co oznacza dla chłopca ni mniej ni więcej tylko to, że zyska z kolei piątą matkę. Nieoczekiwany nadmiar szczęścia, statystycznie co dwa lata nowa matka. Nawet dorosłemu by się to znudziło. Nic dziwnego, że chłopak się w końcu zbuntował, oświadczył, że ma dość i ostatnia czyli czwarta matka w zupełności mu wystarcza.

Teraz wróćmy do punktu wyjścia, do tego paradoksu prawnego, który polega na tym, że jeśli ojciec chce z powrotem odzyskać syna, którego się przedtem zrzekł, może uczynić to tylko na zasadzie przysposobienia (adopcji). Inaczej tego rozwikłać nie można. Ojciec Leszka tak właśnie był zmuszony postąpić. Ale do wyścigu o przysposobienie Leszka przystąpiła jednocześnie jego ostatnia opiekunka. Przed sądem stanął niezwykle trudny dylemat. Sąd usiłował odpowiedzieć na pytanie, czy ojciec Leszka doszedł do wniosku, że to jego syn znajduje się w niepowołanych rękach czy może ewentualnie tylko sam spadek (zaznaczam, pokaźny spadek). Sędziowie też ludzie i nie łatwo im wejrzeć w głąb mrocznych zakamarków ludzkiej natury. Ten sam stosunek można odnieść do obecnej opiekunki Leszka, którą dla uproszczenia będziemy w dalszym ciągu nazywać czwartą matką (Matka nr 4).

Ponieważ ostatnio wszyscy w naszym kraju mają ambicję pracować na zasadach naukowych, skorzystał również z tej tendencji Sąd Powiatowy w Łasku, zwrócił się w rzeczonej sprawie do ekspertów biegłych w psychologii. Eksperci orzekli, że chłopiec dotychczas wychowywał się w środowisku małomiasteczkowym, ojciec zaś mieszka w wielkim mieście, więc przeszczepienie go w inne warunki mogłoby wpłynąć niekorzystnie na jego rozwój. Leszek miałby trudności z asymilacja. Tym bardziej, że czwarta matka wychowuje go już trzeci rok i Leszek jest do niej bardzo przywiązany. Broniąc swych moralnych praw do dziecka, kobieta ta oświadczyła na rozprawie, ba, przysięgała sądowi, że nigdy już nie wyjdzie za mąż, niejako poświęci się. Nie przewidziała wtedy, że bliskiemu sąsiadowi umrze żona. Właśnie przed miesiącem złamała dane przyrzeczenie i wyszła za mąż za owego wdowca. Jest kobietą w pełni sił, zdolną do udziału w procesie reprodukcji prostej. Przystojny wdowiec również jest zdolny do uczestnictwa w podwyższaniu wyżu demograficznego, Resztę możemy sobie dośpiewać.

Sąd Powiatowy w Łasku prawie salomonowo rozstrzygnął problem, to znaczy zawiesił sprawę na kołku. Załagodził ostry spór między stronami, dziecko zostawił na razie pod opieką kobiety, mężczyźnie przyzwolił zaś na odwiedzanie chłopca do czasu, aż ten nieco podrośnie i sam zdecyduje o swym losie. Założenie piękne w teorii, w praktyce nie zdaje raczej egzaminu. Walka o duszę dziecka (czy tylko o duszę?) prowadzona jest przez obie wysokie umawiające się strony zbyt brutalnie. Matka nr 4 dość skutecznie uświadamia Leszka, że ojciec go kiedyś sprzedał obcym ludziom. Ojciec podczas wizyt wprowadza natomiast chłopca w tajniki biologicznej biografii opiekunki. Wizyty kończą się, mówiąc delikatnie, scysjami, które trudno określić ze zrozumiałych względów — nieporozumieniami rodzinnymi.

Istnieje możliwość rozpoznania rzeczywistych motywów, jakimi kierują się ci zacni ludzie. Wystarczy tylko pozbawić chłopca majątku. Ale kto na to pójdzie?

ANDRZEJ GRUN

Australijczycy z Paryża w Łodzi

Australia — kraj daleki, nie tyle tajemniczy, co właśnie daleki. Człek przeciętny wie, że są tam kangury, Góra Kościuszki, eukaliptusy i bumerangi, że kiedyś podróżował do Australii wielki polski odkrywca Paweł Edmund Strzelecki, równie niespokojnego ducha co umysłu, a w latach nieco późniejszych ekipa polskich sportowców na Olimpiadę w Melbourne oraz zespół „Mazowsze". I jeszcze, że i sportowców i tancerzy gorąco witała liczna tamtejsza Polonia. Na tym się z reguły zapas wiadomości wyczerpuje. O kulturze tego kraju nie wiemy nic zgoła. Filmy z australijskiej wytwórni nie docierają na nasze ekrany. Czasem, bardzo rzadko wpadnie do rąk jakaś książka australijskiego pisarza, jakiś australijski zespół młodzieżowy z III programu każe nam śpiesznie przekręcić radiową gałkę. To wszystko.

I oto w Muzeum Sztuki mamy okazję obejrzeć ponad czterdzieści grafik współcześnie żyjących artystów australijskich, z których najstarszy ma 68 lat, a najmłodszy 24 i którzy aktualnie mieszkają i tworzą w Australii. Podkreślam specjalnie fakt, iż wystawiający graficy mieszkają aktualnie i tworzą w Australii, są to bowiem twórcy, którzy kształcili się w różnych ośrodkach artystycznych Europy i obu Ameryk i w związku z powyższym ekspozycja jest przede wszystkim przeglądem aktualnych tendencji panujących we współczesnej grafice światowej, a dopiero potem wystawą aktualnej grafiki odległego kontynentu. Ile w prezentowanych planszach jest Paryża, Nowego Jorku, Japończyków czy Wenecji, dałoby się wyśledzić bez specjalnego trudu, ile autentycznej Australii — powiedzieć nie sposób, a to przede wszystkim z racji braku jakichś istotnych wyróżników.

Jak informuje we wstępie do katalogu wystawy Noel Counihan, prezes Print Council of Australia mimo izolacji, braku szkolnictwa artystycznego i zaplecza technicznego, mimo braku patronatu i braku specjalnego zainteresowania dla sztuki graficznej w Australii, posiada ona jednak pewne tradycje, sięgające lat czterdziestych XIX wieku, a związane ze sztuką ilustratorską i kronikarską, artystów kolonialnych, takich jak: C. Martens, J. S. Prout, a przede wszystkim P.S. Gill, autor wielu litografii notujących życie i obyczaje w wiktoriańskich kopalniach złota oraz uzdolniony samouk, J. Shirlow, twórca popularnych w owym czasie akwafortowych widoków Sydney i Melbourne.

Kryzys ekonomiczny roku 1930, potem wojna zahamowały powolny, lecz systematyczny rozwój sztuki na kontynencie australijskim. Dopiero powojenna emigracja do Australii przyniosła z sobą również wielu twórców, przede wszystkim z Europy i ożywiła życie kulturalne. Nowy stan rzeczy znalazł wyraz i w twórczości graficznej. Wzrosła liczba grafików, wzrosło i wzrasta nadal zainteresowanie odbiorcy tym gatunkiem sztuki plastycznej. Powstały liczne pracownie, oparte na wzorach europejskich i amerykańskich, dobrze wyposażone technicznie i wspierane fachowymi siłami pedagogicznymi. Z kolei wielu młodych Australijczyków wyjeżdżało na studia do ośrodków zagranicznych, a ich nazwiska coraz częściej poczęły pojawiać się na międzynarodowych imprezach i konkursach, budząc usprawiedliwione zainteresowanie dla podpisanych nimi prac graficznych.

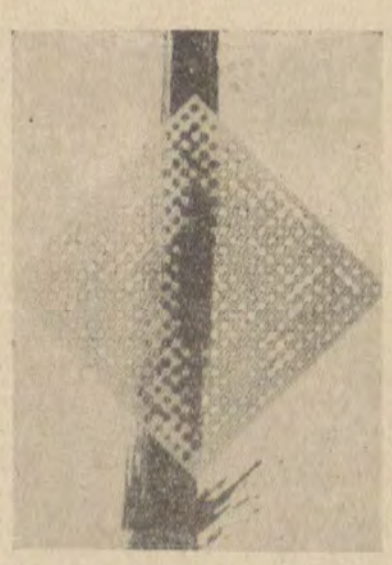

DAVID ROSE — „Perforowana zabawa"

Mimo braku znaczących znamion narodowej odrębności, grafika australijska nie ustępuje pod względem technicznym realizacjom powstałym w innych ośrodkach świata, a często je przewyższa. Dzięki opiece, jaką ten gatunek plastyki został otoczony, między innymi przez Print Council of Australia i National Gallery of Victoria w Melbourne, grafika australijska jest na najlepszej drodze do wypracowania sobie swojego odrębnego wyrazu tym bardziej, że w szeregach jej twórców znajdują się artyści doskonale operujący warsztatem. A izolacja kontynentu tym razem może okazać się faktem sprzyjającym.

Wystawa w Muzeum Sztuki zorganizowana została dzięki wspólnym staraniom National Gallery of Victoria w Melbourne oraz Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. Być może pokaz łódzki stanie się zaczątkiem kontaktów szerszych i bliższych. Na zakończenie pragnę zwrócić uwagę zwiedzających na samą ekspozycję wystawy, funkcjonalną, czystą w swym pomyśle, doskonale prezentującą graficzne plansze, której autorem jest łódzki plastyk, Jerzy Derkowski. Projektantami plakatu i katalogu wystawy są od dawna współpracujący z Muzeum Sztuki łódzcy graficy: B. Balicki i S. Łabędzki.

P.S. A propos — kiedy już jesteśmy przy wystawach zagranicznych, to w Salonie Współczesnym przy ul. Piotrkowskiej trwa pokaz prac studentów Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Antwerpii ze wszech miar warta obejrzenia. Grafika artystyczna i użytkowa, biżuteria, kompozycja przestrzenna oraz fotosy dokumentacyjne dają pojęcie o kierunkach i metodach szkolnictwa artystycznego. Żałować tylko należy, iż organizatorzy zapomnieli podać przy poszczególnych pracach roku studiów, na którym one powstały. Taka informacja pozwoliłaby wniknąć głębiej w istotę wystawy.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„Ofiary obowiązku" i „Kocioł"

Ostatnio spędziłem dwa wieczory z rzędu w Małej Sali Teatru Nowego, gdzie od pewnego czasu spektakle firmowane bywają dodatkowo: Studio Współczesne. Określenie to sygnalizuje pewne ambicje programowe dyrekcji teatru w stosunku do współczesnej produkcji dramatycznej.

Pierwsze z przedstawień, które obejrzałem, zrealizowano właśnie w ramach Studia. Drugie — nie. Chyba znam powód, ale ujawnię go w końcowej glosie.

Wieczór pierwszy

Wypełniła go sztuka „Ofiary obowiązku" Eugene'a Ionesco *), niemal legendarnego już dziś twórcy teatru absurdu. Obecnie trudno mówić o Ionesco jako o autorze awangardowym. Sądzę, że położyła temu kres przyznana mu w 1968 roku literacka nagroda Nobla.

To cieszące się w świecie wciąż najwyższym autorytetem wyróżnienie literackie ma to do siebie, że odbiera laureatom patent na awangardowość w zamian za patent uniwersalnego uznania. Tak było na przykład z innym reformatorem teatru — futurystą Luigim Pirandello, gdy pod koniec życia (1934) przyznano mu ten sam laur literacki.

Oficjalne uznanie nie oznacza, że twórczość Ionesco — zwanego Molierem naszych czasów — stała się tym samym bardziej zrozumiała i jednoznaczna. Duża część publiczności (przeważnie ta starsza wiekiem i upodobaniami) czuje się w zetknięciu z jego teatrem zagubiona, nawet oszukana. Inna część (dominuje w niej młodsza generacja, zawsze bardziej chłonna na nowinki) jest w pewien sposób oswojona z poetyką Ionesco; nie znaczy to jednak, że ją rozumie.

Rozumieć Ionesco? Przecież on sam pisze: „Jakże mógłbym zrozumieć swoją własną sztukę, skoro świat jest dla mnie niezrozumiały? Oczekuję, by ktoś mógł mi ją wyjaśnić". A przy tym dodaje: „Zastrzegam sobie prawo czerpania materii dramatycznej z moich snów, z moich najgłębszych lęków, z moich ciemnych pragnień, z moich wewnętrznych sprzeczności".

Jest więc w pisarstwie Ionesco coś, co opiera się interpretacji i przekładaniu na język logiki drugiego człowieka. „Coś"? Może wpływy filozofii egzystencjalistycznej Martina Heideggera, który istnienie ludzkie opiera na „fundamencie rozpaczy"? A może surrealistyczne zacieranie granic między światem obiektywnym i subiektywnym przeżywaniem go? Albo wreszcie psychoanalityczne sondy zapuszczane w mroki podświadomości?

W „Ofiarach obowiązku" rolę takiej sondy spełnia Policjant, który zmusza bohatera sztuki Chouberta do wędrówek po bezdrożach własnej psyche, w której zakamarkach przeżycia z przeszłości sąsiadują z niezrealizowanymi pragnieniami, tragizm z groteską, zarys faktów z bezkształtną i bełkotliwą plazmą. Wszystko to wymieszane razem wymyka się rozumowej percepcji, zwodzi nas chwilami pozorem sensu, by za chwilę strącić w ciemną otchłań Niezrozumiałego.

Oceniając przedstawienie starannie przygotowane przez Lecha Komarnickiego, nie mogę wyzbyć się wrażenia, że publiczność przede wszystkim nie rozumie. To jej przeszkadza w obcowaniu ze spektaklem. Broni się więc wychwytywaniem skrawków przyswajalnych dzięki doświadczeniu życiowemu (np. treść rozmowy Chouberta ze zmarłym ojcem) lub bawiąc się zewnętrznym komizmem fragmentów groteskowych (infantylizm Chouberta, gdy w wędrówce psychoanalitycznej dociera do okresu dzieciństwa, albo scena żucia chleba).

Wysiłek aktorów jest rzetelny. Sidonia Błasińska (Magdalena), startując z pozycji zadowolonej z siebie mieszczki, z powodzeniem wciela się w kolejne przypadające jej role, jakby zmieniała suknie. Jan Zdrojewski w skupieniu odbywa podróż po mrokach podświadomości Chouberta. Krzysztof Ziembiński zręcznie bierze zakręty, jakie stwarza rola Policjanta. Wojciech Pilarski tworzy świetną sylwetkę w epizodycznej roli satyrycznie potraktowanego pisarza awangardowego Mikołaja Derugi.

A mimo wszystko przedstawienie wydaje się nie trafiać do widza. Kto temu winien? Czy można w ogóle mówić o winie w tym przypadku?

Wieczór drugi

Wrażenia pierwszego wieczoru wzbudziły we mnie wątpliwości. Po obejrzeniu następnego wieczoru komedii Andrzeja Mularczyka „Kocioł" **) żadnych wątpliwości nie miałem. Nie udała się ta sztuka autorowi.

Pisano już o tym, że „Kocioł" zawiera pomysł co najwyżej na skecz. Muszę się z tym zgodzić. Nie ma pomysłu na dwa akty. Ciągnie więc Mularczyk ową nikłą materię do granic wytrzymałości, inkrustuje dowcipami lepszej i gorszej marki (ot, chociażby taka próbka: ojciec wczoraj wyliczał przez telefon cały skład rady zakładowej, chociaż wybory odbędą się dopiero jutro).

Rozrzut tych żartów jest duży. Autor włącza w tekst wszystko, co mu przyjdzie na myśl, byle miało jakiś rezonans w doświadczeniu życiowym widza. Gorzej, że co najmniej od połowy przedstawienia domyślamy się, że dwaj Cywile, organizujący tzw. kocioł, nic z aparatem ścigania przestępstw nie mają wspólnego. A raczej mają, ale w sensie negatywnym.

Domyślamy się, ale udajemy wobec autora i samych siebie, że ujawnienie tego faktu na końcu sztuki będzie niespodzianką. Jasne, że w tej sytuacji nie może być mowy o żadnym dramatycznym napięciu. Czas płynie, aktorzy przerzucają się dowcipami i przedstawienie bardzo leniwie zmierza ku przejrzystemu rozwiązaniu.

Aktorom nie mam zresztą nic do zarzucenia. Starają się być śmieszni, nadrabiając gierkami braki tekstu. Mnie najbardziej podobali się: Ludwik Benoit jako Fistuła, Józef Zbiróg (Henryk) i kapitalny w epizodzie Starego Zygmunt Malawski.

Głosa

Dwa wieczory w tej sali i tak diametralnie różny ładunek. Aż wierzyć się nie chce, że jesteśmy w tym samym teatrze. Rozumiem względy kasowe i trudności w pozyskaniu dobrej polskiej sztuki współczesnej. Jednak w przypadku komedii Mularczyka kompromis wydaje się zbyt głęboki.

Powtarzam, że nie wiem, jak poradzić na nieczytelność Ionesco. Jak ułatwić publiczności jego przyjęcie. W każdym bądź razie przedstawienie „Ofiar obowiązku" ujmy teatrowi nie przynosi. Przeciwnie, poświadcza jego ambicje.

Pozostaje życzyć Studiu Współczesnemu, by jak najrychlej zaprezentowało nam dobrą polską sztukę o współczesności.

---

*) E. IONESCO „OFIARY OBOWIĄZKU" — sztuka w 2 częściach; przekład — JOANNA WALTER; reżyseria — LECH KOMARNICKI; scenografia — LILIANA JANKOWSKA; Teatr Nowy — Studio Współczesne — Mała Sala; recenzja dotyczy przedstawienia z dnia 25. III. 72.

**) A. MULARCZYK „KOCIOŁ, CZYLI KTO NASTĘPNY" — komedia w 2 aktach; reżyseria — WOJCIECH PILARSKI; scenografia — IWONA ZABOROWSKA; asystent reżysera — MARIAN STANISŁAWSKI; piosenki — R. CZUBACZYŃSKI i W. KORCZ; Teatr Nowy Mała Sala — prapremiera; recenzja dotyczy przedstawienia z dnia 26. III. 72.

Tadeusz Trygubowicz, Tadeusz Kożusznik, Jerzy Staszewski i Zbigniew Bielski

ANDRZEJ FELIKS GRABSKI

„Diabelski krąg"

Przedstawienie „Diabelskiego kręgu" Heddy Zinner *) na scenie Państwowego Teatru Ziemi Łódzkiej stanowi propozycję ideową, ostro kontrastującą z tym wszystkim, do czego przyzwyczajają nas wielkie sceny nie tylko naszego miasta. Dzieje procesu, wytoczonego przed Najwyższym Trybunałem Rzeszy w 1933 roku przeciw pięciu oskarżonym o podpalenie Reichstagu, procesu, który przeszedł do historii pod nazwą „procesu Dymitrowa", aczkolwiek należą już dziś do historii, nie są dla nas przecież obojętne. Skrupulatnie, z ogromnym nakładem sił i środków przygotowana hitlerowska prowokacja, której celem było skompromitowanie w opinii publicznej ruchu komunistycznego i całej niemieckiej lewicy, zakończyła się pełną kompromitacją jej organizatorów. Bułgarski rewolucjonista pokrzyżował plany sądu, oskarżycieli, hitlerowskiego aparatu propagandowego; nie tylko potrafił się bronić, ale sam przystąpił do oskarżenia prowokatorów i całego hitlerowskiego reżimu. Jego spokojne, niekiedy ironiczne, lecz zawsze rzeczowe pytania wyprowadziły z równowagi pruskiego premiera Göringa, który występował jako jeden z koronnych świadków oskarżenia. Kompromitacja stała się głośna na cały świat, a miarą niepowodzenia organizatorów procesu stał się wyrok, wydany przez hitlerowski sąd, uniewinniający dla czterech spośród oskarżonych. Zemszczono się na van der Lubbem, postaci do dziś zagadkowej. Został on uznany winnym zarzucanych mu przestępstw i skazany na karę śmierci. Georgi Dymitrow i jego dwaj bułgarscy towarzysze mieli być deportowani do rodzinnego kraju. Hitlerowcy wiedzieli, że bułgarskiego rewolucjonistę oczekuje tam wyrok śmierci i niechybnie bardzo liczyli na to, że zostanie on przy ich uczynnej pomocy wykonany. Miało być jednak inaczej, bowiem na lotnisku, dokąd odstawiono Dymitrowa pod silną eskortą, czekał już nań radziecki samolot, który miał go zabrać do ZSRR.

Światowa opinia publiczna słyszała słowa, rzucane przez Dymitrowa z lipskiej ławy oskarżonych. Docierał też do niej głos wielkiego pisarza i humanisty, Romain Rollanda: „Dopóki Dymitrow i inni pozostają zamknięci w więzieniu, nawet wbrew prawu samych Niemiec, nikt nie może wierzyć słowu Niemiec". Wiadomo jednak, że wciąż zbyt mu dawano wiarę.

Równie ambitnego, jak trudnego zadania przeniesienia lipskiego procesu na teatralną scenę podjęła się niemiecka pisarka Hedda Zinner, laureatka nagrody państwowej NRD i nagrody im. Lessinga, od wczesnej młodości związana z lewicą komunistyczną. W oryginalnej, autorskiej wersji „Diabelski krąg" jest ogromną, panoramiczną sztuką w pięciu aktach, w której zachowane zostało zgodne z biegiem wypadków następstwo czasu, dziełem wielowątkowym i wielopłaszczyznowym. Jego wystawienie wymagałoby kolosalnego aparatu wykonawczego, na jaki mogłyby sobie pozwolić tylko największe teatry: 5 aktów w 14 odsłonach, około 50 wykonawców większych i mniejszych ról, tłumy statystów — to wszystko zdawało się wykluczać możliwość realizacji dzieła H. Zinner na niewielkiej scenie Teatru Ziemi Łódzkiej. Jan Perz zaproponował więc widzowi własną adaptację dzieła niemieckiej pisarki — powiedzmy od razu: adaptację nad wyraz szczęśliwą. Rezygnując z wielomówności skupił swą uwagę na przebiegu samego procesu, rezygnując z mnóstwa wątków ubocznych, na rzecz podkreślenia tego wszystkiego, co w utworze H. Zinner najistotniejsze. Sztuka straciła swą koturnowość, zyskała na zwartości i komunikatywności. To wszystko, co w oryginale stanowi trudne nieraz dla polskiego widza prolegomena do procesu, uczynił J. Perz retrospekcją, którą posłużył się jako środkiem do budowania dramatycznego napięcia. W ten sposób najistotniejsze problemy „Diabelskiego kręgu" wysunęły się na plan pierwszy, dzieło zyskało nowy, przekonujący kształt sceniczny.

W swej reżyserii unikał J. Perz „udziwnień", starał się zaprezentować widzowi swego Teatru ideowe i artystyczne wartości sztuki w sposób klarowny, maksymalnie jasny nawet dla tych, dla których byłby on pierwszą lekcją tamtej historii. Udało mu się uniknąć tak niebezpiecznej, ale jakże częstej w teatrze politycznym — boć przecież o taki teatr tutaj chodzi — deklaratywności. Udowodnił, że nawet w trudnych warunkach, w jakich pracuje Teatr Ziemi Łódzkiej, można i należy proponować widzowi teatr ambitny.

Miast kilkudziesięciu — jak w oryginale — na scenie pojawia się niewiele ponad dwadzieścia postaci. Rola Wilhelma Lühringa, socjaldemokratycznego posła do Reichstagu, to nowe, wybitne osiągnięcie w dorobku twórczym Jerzego Staszewskiego. Staszewski niezmiernie sugestywnie, posługując się bogatymi środkami budował psychologiczną sylwetkę człowieka, który z najcięższych chwilach, niemal złamany siłą przemocy, znajduje w sobie wolę odnalezienia swojej życiowej drogi. Piękna, głęboka, skomplikowana psychologicznie, a jakżeż prawdziwa postać Lühringa stworzona przez sztukę J. Staszewskiego, godna jest najlepszej sceny. Lühring — Staszewski wzruszył, w scenie widzenia z Martą (Władysława Skwarska) — wstrząsnął. Żałuję, że nie mogę z podobnym entuzjazmem napisać o Henryku Dudzińskim, który odtwarzał postać Georgi Dymitrowa. Prawda, miał on wiele zdecydowania, nawet agresywności, brakowało mu jednak tego, co charakteryzowało prawdziwego Dymitrowa: wewnętrznego spokoju, ironii i tego niewzruszonego, najgłębszego przekonania o konieczności zwycięstwa, które tak urzekało innych. Przecież nawet wrogowie przyznawali Dymitrowowi... wielkość; ale to najtrudniej oddać na scenie. W pamięci widza pozostanie wielu wykonawców tego pięknego spektaklu, jak Andrzej Jurczak w roli van der Lubbego (kapitalna scena z hr Helldorfem), Remigiusz Rogacki jako Göring i inni, których nie sposób tutaj wyliczyć.

Dobrze się stało, że Jan Perz sięgnął po sztukę Heddy Zinner. Dobrze by było, aby dalsze poszukiwanie ambitnego repertuaru politycznego wprowadziło na scenę również dzieła dramaturgii polskiej.

---

*) HEDDA ZINNER: „DIABELSKI KRĄG". Przekład: GABRIELA MYCIELSKA, opracowanie tekstu i reżyseria: JAN PERZ; scenografia: ZENOBIUSZ STRZELECKI, Polska prapremiera — Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej, 11 marzec 1972.

ZBIGNIEW SKIBICKI

Kogo za to winić?

Tegoroczne mistrzostwa świata w jeździe figurowej na lodzie odbyły się, jak wiadomo w Calgary w Kanadzie. Polaków interesowały szczególnie konkurencje par sportowych i tanecznych, w których startowali nasi reprezentanci: Grażyna Osmańska-Kostrzewińska i Adam Brodecki oraz Teresa Weyna i Piotr Bojańczyk. Wiedzieliśmy, że para sportowa z łódzkiego Społem — G. Osmańska i A. Brodecki po jeździe obowiązkowej zajmowała bardzo dobrą, 9 lokatę, a po programie dowolnym, który zawsze wykonywała brawurowo, spadła aż na 12 miejsce. Co więc stało się na lodowisku w Calgary? Oto pytanie, które stawiali sobie liczni zwolennicy tej pięknej dyscypliny sportowej.

Na ekranach telewizorów ukazał się obraz awizujący mistrzostwa świata w Kanadzie. Za chwilę na lodowisku ujrzeliśmy łódzką parę. Pierwsze trzy minuty programu dowolnego Osmańska i Brodecki wykonali bezbłędnie i w dużym tempie. Później, jak wiemy, nastąpiło całkowite załamanie i w konsekwencji występ się nie udał.

Przed nami siedzi mocno podekscytowany Adam Brodecki, student Akademii Medycznej w Łodzi, który opowiada o tym niefortunnym starcie w mistrzostwach świata. Chcąc wyjaśnić przyczyny tego niepowodzenia — mówi p. Brodecki — trzeba się cofnąć aż do Olimpiady w Sapporo. Tam nasza para zajęła 11 miejsce, mając bardzo dobrze wykonany program dowolny. Po zakończeniu konkurencji olimpijskiej nasi łyżwiarze od 8.II. do 16.II. czekali w Sapporo na samolot. Nie trenowali przez osiem dni, bo nie było środków na opłacanie lodowiska. Tam usłyszeli, że do Calgary na mistrzostwa świata nie pojadą. Powrót do kraju drogą lotniczą był długi: z Tokio do Moskwy, a dalej przez Paryż do Warszawy. W Moskwie nie mogli nasi reprezentanci przesiąść się na samolot „LOT-u" do Warszawy, bo mieli bilety zakupione na linie francuskie. Zamiast więc za dwie godziny, dolecieli do swojej stolicy za półtora dnia.

W Warszawie byli 17.II. i tu dowiedzieli się, że ani para sportowa ani taneczna do Calgary nie jadą. Potwierdził tę wiadomość Polski Związek Łyżwiarstwa Figurowego. Odwołanie ponoć złożono w tej sprawie do GKKFiT.

Osmańska i Brodecki powrócili do Łodzi, gdzie za dwa dni przyszło potwierdzenie o odmowie wyjazdu na mistrzostwa świata.

— Musiałem — opowiada dalej Brodecki — zacząć odrabiać zaległości w nauce na uczelni. Treningów intensywnych nie prowadziliśmy, bo i po co. Przez tydzień był spokój, aż nagle w końcu miesiąca lutego zatelefonowano ze stolicy, że wyjazd dwóch naszych par do Calgary jest aktualny, a wraz z tą czwórką lecieć mają do Kanady Prezes PZŁFig. — Bolesław Machcewicz i sędzia międzynarodowy — Maria Zuchowicz. Ani trener pary tanecznej, ani trener pary sportowej — Stefan Pawłowski, nie zostali uwzględnieni w ekipie na Calgary.

— Zdawałem aktualnie egzamin, gdy dano mi znać, że mam natychmiast pakować manatki (28.II). i jechać do Warszawy, gdzie 29.II. odlatuje samolot do Kanady przez Amsterdam. Bez treningu i kondycji, bez trenera razem z moją partnerką, odlecieliśmy na mistrzostwa świata w towarzystwie prezesa i sędziego...

To jedna grupa faktów, które chyba nie wymagają komentarzy. Teraz druga kwestia, niemniej ważna dla każdego sportowca. Sapporo leży na wysokości 200 m nad poziomem morza, zaś Calgary na wysokości około 1280 m. Na aklimatyzację, potrzebną ze względu na zmianę czasu i wysokości, mieli nasi łyżwiarze zaledwie pięć dni. Zawodnicy innych państw, liczących się w obsadzie czołowych miejsc, byli na miejscu dużo wcześniej, a Francuzi wprost z Sapporo polecieli do Calgary.

— Czuliśmy się bez trenera jak osieroceni — ciągnie swój wywód A. Brodecki. — Nie miał nam kto wskazywać błędów, jakie popełnialiśmy na treningach. Musieliśmy się przystosować do lodowiska, węższego o 4 metry i dłuższego o 2 metry. Prezes Machcewicz stale był z nami, ale on nie jest fachowcem i żadnych rad udzielać nam nie mógł. Z kilku uwag pani Zuchowicz skorzystaliśmy skrzętnie...

Wiadomo jest, że właśnie w okresie 6—8 dni po przyjeździe na drugą półkulę przy aklimatyzacji następuje moment krytyczny. Człowiek jest senny, osłabiony, leniwy, traci kondycję. I właśnie te objawy wypadły w dzień startu pary Osmańska — Brodecki.

— W momencie słynnej już libelli, pociemniało mi w oczach — twierdzi Brodecki — nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, gdzie mam ręce i nogi, nie dostrzegałem partnerki. No, a resztę widzieli wszyscy w telewizji... W pewnym momencie brakowało nam po prostu tchu. Oddychaliśmy jak ryby wyjęte z wody. Dawała o sobie znać wysokość Calgary. Dość powiedzieć, że jedna z zawodniczek radzieckich po występie była tak zmęczona, że przez dłuższy czas musiała korzystać z aparatu tlenowego. Takich urządzeń polska ekipa nie posiadała. Nie było też lekarza i trzeba było zwracać się o pomoc do doktora z ekipy NRD.

Kto więc powziął decyzję nagłego wyjazdu naszych łyżwiarzy bez treningu i przygotowania, bez trenerów oraz lekarza, bez możliwości aklimatyzacji? Tych „bez" można by wymienić jeszcze kilka. Kogo więc winić za słabe wyniki naszych zawodników?

TV OBIEKTYW

ACH, GDZIE SĄ NIEGDYSIEJSZE ŚNIEGI?

Telewizja obficie żywi się literaturą. Zapotrzebowanie na treści programowe ma bowiem wielkie. Nie nastarczy mu bieżąca produkcja. Trzeba sięgać więc do bogatych złoży, które literatura światowa gromadziła i gromadzi od wielu stuleci.

Tak trafił więc na mały ekran i legendarny Francois Villon, XV-wieczny poeta, frant, rozpustnik i morderca. Jego poemat liryczny „Wielki testament" posłużył za kanwę widowiska telewizyjnego (Francois Villon: „Wielki testament"; przekład — Tadeusz Boy-Żeleński; adaptacja — Irena Wollen i Ireneusz Kasprzysiak; reżyseria — I. Wollen; realizacja TV — Stanisław Zajączkowski; scenografia — Henryk Cios; muzyka — Zbigniew Bujarski; choreografia — Jacek Tomasik; Estrada Literacka — Kraków, 31. III. 1972 r.).

Villon słynął z burzliwego życia, wiele o nim pisano, stał się nawet bohaterem operetki Frimla „Król włóczęgów". Ale do historii przeszedł nie dzięki burdom i miłostkom, lecz dzięki pięknej liryce. Pięknej i gorzkiej, na którą złożyły się z pewnością bolesne doświadczenia jego krótkiego (zapewne), ale bujnego życia.

„Wielki testament" napisał trzydziestoletni zaledwie poeta w 1461 roku. Jest to okres późnego średniowiecza. Nie wystygł jeszcze dobrze stos Joanny d'Arc. Życie i śmierć sąsiadowały ze sobą blisko. Przejście od hucznej zabawy do żałobnego całunu było jakże łatwe! Szczególnie zaś łatwe dla kogoś, kto przyjął taki tryb życia jak Villon.

Nic dziwnego więc, że w poezji tego młodego przecież człowieka („W trzydziestym życia mego lecie — Hańbą do syta napojony — Ni żrały mąż, ni puste dziecię — Mimo, iż ciężko doświadczony...") tak wiele mowy jest o śmierci. Życie wydaje się wyciekać wszystkimi szparami i coraz wszechwładniej opanowuje autora myśl o mrocznym końcu.

„Wielki testament" jest więc poematem o przemijaniu: młodości, urody, powodzenia. Wszystkie przejawy życia spływają jak strumyki górskie do jednego wspólnego koryta i zmierzają ku śmierci. Pozostaje tęsknota za tym, co przeszło („Ach, gdzie są niegdysiejsze śniegi?"), krótkie wspomnienia przeżyć jurnych i rozpustnych, i smutna refleksja nad życiem, z którego zdać przyjdzie rachunek.

Wspaniała to poezja, z prawdziwym więc zainteresowaniem śledziłem jej edycję telewizyjną. Reżyser dążył do stworzenia widowiska o złożonej strukturze, służącej w całości przekazowi szczególnego klimatu utworu Villona. W tym celu nagromadzono na planie szubienice i stryczki, a statystów poprzebierano w mnisie habity z kapuzami, kryjącymi dużą część twarzy. Przy dźwiękach muzyki stylizowanej na śpiewy gregoriańskie w wykonaniu chóru i orkiestry Filharmonii Krakowskiej wykonywali oni ruchy taneczne, które wbrew zamierzeniu wyglądały chwilami nieco groteskowo.

Te natrętne trochę w swej jednoznaczności wymowie przerywniki nie przesłoniły jednak świetnej interpretacji wiersza Villona przez aktorów, zwłaszcza przez Jerzego Trelę, który z dużym skupieniem wypowiadał liryczne monologi poety. Z temperamentem zagrały role gamratek Zofia Więcławówna, Antonina Barczewska, Krystyna Feldman i Wanda Kruszewska. Krwistym Rajfurem był Leszek Kubanek, a partnerowała mu trafnie Halina Wyrodek jako Gruba Małgośka. W tych scenach tekst Villona pulsował autentyzmem.

Dobrym pomysłem realizatorskim był danse macabre, w którym ciała młodych kobiet — dzięki zastosowaniu przenikania — zamieniały się w kościotrupy. W całości widowiska sporo jednak było niespójności, początkowe jego partie dłużyły się nadmiernie, nim rzecz nabrała rytmu i tempa.

Nie mieliśmy z pewnością do czynienia z realizacją na miarę znakomitości tekstu, niemniej krakowski „Wielki testament" był programem kulturalnym i zasługującym na uwagę.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Oglądając film Karola Makka „MIŁOŚĆ" nie można nie ulec wrażeniu, że uczestniczy się w akcie przywracania słowom ich znaczeń właściwych i podstawowych. Miłość, wierność i dobroć znaczą to, co w słowach tych zawarli ludzie doświadczając tych uczuć, bądź marząc o nich przez całe swe życie, znaczą zatem tak wiele, ile naszych wyobrażeń o nich. Makk pokusił się o to, by w czasach dewaluacji tych pojęć spróbować je odnaleźć w ich stanie czystym, by sprawdzić możliwość funkcjonowania dawnych systemów wartości w świecie współczesnym. W jego filmie miłość znaczy nie tylko miłość — wierność, dobroć i poświęcenie dopełniają sens główny tego słowa. By go wydobyć, Makk opowiedział historię trojga bohaterów, których życiu miłość nadała sens i określiła ich charaktery.

Matka i żona oraz obiekt ich uczucia — syn i mąż, który ogniskuje ich myśli, na którego oczekiwanie wypełnia cały film, Stara kobieta i synowa, która ukrywa prawdę o losie męża, odsiadującego wyrok za działalność polityczną, to dwie, właściwie jedyne, postacie kameralnego filmu Makka. Mąż powróci wówczas, gdy jego żona zdała już straszliwie trudny egzamin z życia, a była nią właśnie miłość, wierność tej miłości. W jej życiu znaczyła ona również potwornie trudną grę przed matką, której musiała stworzyć świat złudy, wiary w inny los syna. Zawężając miejsce akcji, koncentrując uwagę na dwu postaciach, Makk nie wybrał więc łatwego sposobu opowiadania. Drąży temat niejako w głąb, przydając jednakże sprawom psychologii określone tło społeczne, sprawdzając charaktery ludzkie w skomplikowanej sytuacji życiowej, która ma w tym wypadku swe polityczne odniesienia.

Do mieszkania matki-staruszki, będącego jakby samotną wyspą starego świata, przenika rzeczywistość współczesna tylko poprzez synową. Ilona pomaga matce trwać w świecie wspomnień i wyobrażeń o szczęśliwej, pełnej sukcesów podróży syna do Ameryki, wie, że ten świat jest dla matki jedyną szansą przetrwania straszliwego czasu oczekiwań. Świat ten kreuje Makk ze strzępów retrospekcji, fragmentów świata młodości matki, jawiących się we wspomnieniach i istniejących jeszcze symbolicznych rekwizytach wypełniających do dzisiaj dom. W ten sposób film staje się pełną mądrej i pięknej zadumy opowieścią o młodości i starości, o przemijaniu. Opowieść to mozaikowa, ułożona z obrazów przeszłości i teraźniejszości, gestów, spojrzeń i słów, często dobrych, a często bardzo gorzkich. A to, co najbardziej zachwyca w tym filmie, to właśnie rysunek postaci Ilony. Jej miłość i dobroć wobec matki, to nie uczucie proste, zniechęcenie graniczące chwilami z nienawiścią walczą w niej o lepsze z poczuciem odpowiedzialności, przywiązania i miłości, która jest jednak głównie odbiciem miłości do męża.

Nietrudno się domyśleć, że Makk przystępując do realizacji swego filmu wiedział, że sukces zależeć będzie od wyboru aktorek, które udźwignąć ciężar powierzonych im ról. Lili Darvas — matka i Mari Töröcsik — Ilona wniosły do filmu nie tylko znakomite aktorstwo. Wybór tych aktorek daje widzom, poza faktem genialnego utożsamienia ich z postaciami filmu, okazję porównania dwu światów aktorskich. Sędziwa Lili Darvas to wielka tragiczka sceny i filmu w stylu jakby klasycznym, przydająca z całą świadomością postaci swą własną osobowość, Mari Töröcsik pełna dyskrecji i dystansu, przejmując całe wielkie dziedzictwo sztuki aktorskiej, uosabia absolutną nowoczesność gry. Dwie skrajnie różne indywidualności aktorskie, dwie genialne role, których zetknięcie harmonijnie współgra i wypełnia intencje pisarza Tibora Dery i reżysera Karola Makka.

* * *

Ogromne u publiczności powodzenie filmów „Zandarm się żeni", „Wielkie wakacje", a obecnie „ZWARIOWANY WEEKEND" przypomina dawne „dobre czasy kina", kiedy to gwiazdy były głównym magnesem przyciągającym publiczność. Nie znaczy to, że i dziś nie wybiera się filmów, mając na uwadze tych, których się na ekranie spotka, prawdziwy kult gwiazd kino ma jednak chyba już za sobą. Nazwisko aktora znaczy po dziś najwięcej w komedii, choć Chaplin i Keaton to już historia. W bliższych nam czasach ludzie chadzali na Fernandela, Toto, Tatiego, dziś biegną obejrzeć Louis de Funesa. Różne typy komizmu, różne skale aktorskich wartości, ale jednak nazwiska komików firmujące filmy z góry. Wydaje się, że de Funes długo będzie jeszcze uosobieniem tego, co w kinie najśmieszniejsze, nie widać bowiem konkurentów, choćby tylko tej samej klasy talentu. De Funes w „Zwariowanym weekendzie" jest taki sam, jak zwykle. Prezentuje ten sam repertuar gier i gierek. Jednakże najnowszy film stałego reżysera de Funesa — Roberta Dhery przekonuje, że de Funes nie wystarcza. Szampańska dla wielu zabawa na jego wcześniejszych filmach, tu ma smak skwaśniałego nieco riezlinga. Zabrakło pomysłów i tempa, które muszą dać panu de Funes okazję wygrania wszystkich jego umiejętności.

EWA NURCZYNSKA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Spektakle tygodnia

(od 27. III. do 2. IV. 1972 r.)

TEATRY	ilość spekt.	liczba widzów	proc.
NOWY			
„Żołnierz i bohater"	2	980	70
„Ofiary obowiązku"	1	200	100
NOWY Mała Sala			
„Kocioł"	1	160	80
POWSZECHNY			
„Król Lear"	3	2004	100
„Perła"	1	580	90
JARACZA			
„Hamlet"	1	514	100
„Kartofel"	1	340	60
„Placówka"	2	1028	100
„Ania z Zielonego Wzgórza"	1	514	100
7.15			
„Leztern"	1	410	97
„Trędowata"	3	1263	100
OPERETKA			
„Kaper królewski"	3	2439	73
FILHARMONIA			
„Koncerty symfoniczne"	2	950	65

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

BALET TEATRU WIELKIEGO Z MOSKWY W PARYŻU

Na gościnnych występach w Paryżu przebywa od 24 marca do 14 maja balet moskiewskiego Teatru Wielkiego (Bolszoj) budząc wielkie zainteresowanie. Prasa francuska poświęca dużo miejsca omówieniu spektakli baletu i jego historii. I tak np. „l'Humanité Dimanche" podkreśla, że jest to największy balet w ZSRR, a następnie omawia historię powstania tego baletu, którego tradycje sięgają do osiemnastego wieku. W tym to bowiem wieku powstał w Rosji pierwszy stały balet w Petersburgu. W wieku dziewiętnastym w Moskwie kwitła głównie opera w stylu włoskim, natomiast zrany z rozwoju tańca klasycznego był teatr petersburski (obecnie Teatr im. Kirowa w Leningradzie). Tam to właśnie było centrum ruchu baletowego w Rosji. Sytuacja ta zmieniła się gdy w końcu wieku dziewiętnastego przybywa do Moskwy z Petersburga mistrz baletowy Aleksander Gorskij. Od tego czasu i w Moskwie rozpoczyna się wielka era rozwoju klasycznego tańca. Gorskij jako pierwszy stosuje muzykę symfoniczną do baletu, ożywia go, eksperymentuje, zamawia projekty dekoracji i kostiumów u wybitnych malarzy rosyjskich. Stawia wysokie wymagania tancerzom.

Maja Plisieckaja w „Jeziorze Łabędzim"

Balet Teatru Wielkiego zachowując i pielęgnując styl klasyczny, osiąga po dziś dzień ogromne sukcesy, przyciąga i rozwija niezwykłe talenty choreograficzne. Dla baletu tworzą muzykę światowej sławy rosyjscy kompozytorzy jak Czajkowski, Asafjew, Prokofjew, Strawiński. Oparta o motywy baśni i melodii ludowych muzyka wraz z tańcem składają się na wielkie dzieła baletowe, a spektakle takie, jak „Fontanna Bachczyseraju", „Jezioro łabędzie", czy „Ptak ognisty" wcnodzą na trwałe nie tylko do stałego repertuaru baletu Teatru Wielkiego, ale wystawiane są na całym świecie.

Warto też podkreślić, że w roku 1927 Teatr Wielki wystawił balet pt. „Czerwony mak" (późniejszy tytuł „Czerwony kwiat") R. M. Gliera. Był to pierwszy współczesny spektakl baletowy o tematyce rewolucyjnej.

Balet Teatru Wielkiego — jak to zaznacza „l'Humanité Dimanche" — ma znakomicie wyszkolonych tancerzy i to nie tylko gwiazdy baletowe. Wiele jest scen zbiorowych, gdzie pewne partie przypadają coraz to innym tancerzom, którzy również wykazują wielki kunszt baletowy. Wychowanie tak wielkiej ilości wybitnie uzdolnionych tancerzy jest możliwe dzięki temu, że w ZSRR kultura taneczna rozwija się w licznych zespołach baletowych na terenie całego kraju m. in. w Pałacach i Domach Kultury, gdzie ujawniają się wciąż nowe i wybitne talenty. Największą szkołą baletową jest właśnie szkoła baletu przy Teatrze Wielkim w Moskwie.

Maksimowa i Wasiliew

Zespół taneczny przebywający w Paryżu liczy ponad 200 osób. Są wśród nich tak słynni tancerze, jak znana na całym świecie Plisieckaja, Maksimowa, Wasiliew, czy młody talent Natalia Bezsmiertnowa. Orkiestra składa się ze stu muzyków. Spektakle baletu z Moskwy są równocześnie dla paryżan festiwalem muzyki radzieckiej, gdyż autorami są głównie rosyjscy i radzieccy kompozytorzy.

CLOCHEMERLE W BRYTYJSKIEJ TV

W ramach międzynarodowej wymiany kulturalnej w zeszłym roku francuscy telewidzowie pasjonowali się angielskimi, znanymi także dobrze polskim telewidzom, Forsyte'ami. W tym zaś roku brytyjska TV nadaje serial „Clochemerle".

Film telewizyjny wyświetlany jest w dziewięciu półgodzinnych odcinkach. Został nakręcony przez Anglików we Francji, na podstawie słynnej i zabawnej powieści Francuza Gabriela Chevallier o małym miasteczku Clochemerle. Z wyjątkiem dwóch ról obsadzonych przez Francuzów, wszystkie inne grane są przez aktorów angielskich.

Znakomita powieść Chevalliera została opublikowana w roku 1934. Była już raz filmowana, ale obecnie angielska TV nakręciła film jeszcze raz.

WSPÓŁCZESNA RZEŹBA EGIPSKA

Jeden z ostatnich numerów radzieckiego miesięcznika „Iskusstwo" przynosi m. in. interesujący artykuł o tak mało znanej nam, współczesnej rzeźbie egipskiej.

Specyfiką tej dziedziny twórczości artystycznej jest łączenie narodowych tradycji z tematyką aktualną przy oddziaływaniu wpływów współczesnej sztuki europejskiej. Zaznaczyć przy tym należy, że więź z tradycją we współczesnej rzeźbie egipskiej jest znacznie silniejsza, niż w malarstwie.

Historia powstawania i kształtowania się współczesnej sztuki, a zwłaszcza rzeźby egipskiej, jak najściślej związana jest z nazwiskiem wybitnego rzeźbiarza Mahmuda Muchtara (1891—1934). On to odegrał wybitną rolę w kształceniu młodych kadr, kierując szkołą sztuk plastycznych w latach 1920—1930. Muchtar kładł specjalny nacisk na przyswajanie sztuce egipskiej narodowych tradycji z jednoczesnym poznawaniem i korzystaniem z doświadczeń ogólnoświatowych. Pod jego to wpływami artyści bacznie śledzili współczesność, odzwierciedlając w swych dziełach ojczystą przyrodę, sceny z życia, zwłaszcza sceny z życia chłopów i robotników.

Mahmud Muchtar przez dłuższy czas przebywał we Francji, pracując w ciągu kilku lat pod kierunkiem słynnego Rodina. Mimo potężnej indywidualności twórczej francuskiego rzeźbiarza, Mahmud wytworzył własny styl artystyczny, pozwalający mu na ekspresywne ukazywanie budzącego się do nowego życia, Egiptu.

Jednym z najbardziej znanych jego dzieł jest rzeźba zatytułowana „Pastuch". Rzeźba ta łączy

Mahmud Muchtar — „Pastuch"

ogromną siłę wyrazu uzyskuje twórca dzieła poprzez surowy zarys postaci.

Warto też poznać szereg rzeźb młodych artystów na temat macierzyństwa, a temat ten powtarza się często, przy czym potraktowany jest za każdym razem bardzo odrębnie i indywidualnie. I tak „Macierzyństwo", dzieło Mohaddina Tahera wyróżnia

Mahmud Mussa — „Macierzyństwo"

w sobie zarówno tradycyjną monumentalność i patos w najlepszym tego słowa znaczeniu, jak i najbardziej dla rzeźbiarza współczesną tematykę. Muchtar wywarł swą twórczością i pracą pedagogiczną znaczny wpływ na szereg utalentowanych rzeźbiarzy, których najintensywniejszy okres działalności artystycznej przypadł na lata 1930—1940. Są to zwłaszcza: Achmed Osman, Abdel Kader Rizk, Fagar Mansur, Metwalli Chassanein.

Wśród wyróżniających się dzieł nowszych wymienić należy m. in. bardzo interesującą pod względem ujęcia i formy rzeźbę Anwara Abdel Maula „Przeciw broni atomowej" (1960). Stworzona w kamieniu przedstawia grupę kobiet z dziećmi. Monumentalność łączy się tu z nastrojową symboliką, a

się niezwykłą subtelnością, wdziękiem i lekkością, przy nieco wydłużonych proporcjach kobiecego ciała. „Macierzyństwo" zaś, tak jak je widzi Mahmud Mussa — to wizerunek bardzo wystylizowany, przy czym postaci kobiety i dziecka przedstawione są niezwykle zwarcie, skrótowo, dzięki czemu dzieło uzyskuje dużą ekspresję.

Dużą też ekspresją odznacza się rzeźba przedstawiająca egipskiego robotnika dźwigającego kosz z kamieniami. Autorem tego dzieła zatytułowanego „Na budowie" jest Sabri Nached.

Miedziana płaskorzeźba przedstawiająca symboliczny obraz mężczyzny wyłamującego kraty, zatytułowana „Wolność" jest dziełem Gamal as-Saginiego.

Bez strachu

NAJWIĘKSZY PISARZ W ŁODZI

Ja: Jak wielu mówi i jak Panu samemu zdarza się zaznaczać, jest Pan największym pisarzem w naszym mieście i naszego miasta.

On: Bez wątpienia.

Ja: Jak Pan się w związku z tym czuje?

On: Cierpię, wielkość boli, nieśmiertelność boli, to wszystko ponad miarę ludzką.

Ja: Pozostał Pan zatem mimo wszystko człowiekiem?

On: O tak i dlatego rozdziera mnie bolesna dwoistość: jest we mnie i to, co ludzkie i to, co miary człowiecze stanowczo przerosło.

Ja: Tego, co miary człowiecze stanowczo już przerosło i tak nie zdołamy pojąć, może więc pomówimy o tym, co w Panu ludzkie. Czy lubi Pan szynkę?

On: Konserwową, tylko konserwową, i to nie w plasterkach, a w jednym kawałku.

Ja: A sery jakie?

On: Ementaler, głównie ementaler — jest pożywny i łagodny.

Ja: A co z ostrych przypraw?

On: Musztardę.

Ja: Proszę powiedzieć, jak Pan zdobywa konserwową szynkę w plasterkach, ser ementaler i musztardę?

On: Zdobywam? To przecież wszystko jest na stole!

Ja: Ale zgodzi się Pan, że to nie wyrosło ze stołu, ktoś to przynosi z miasta i odpowiednio stawia na stole.

On: Wie Pan, to nawet ciekawe, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Zapewne, zapewne przynoszą, stawiają — zjadam, a potem zabierają i myją talerze. Tak, słyszę przecież niekiedy plusk wody w kuchennym zlewie.

Ja: Kto zatem to wszystko robi?

On: Zapewne żona, ale nie ręczę za szczegóły.

Ja: Czy zdarzyło się Panu kiedyś zostać samemu w mieszkaniu?

On: O, tak. Żona była w szpitalu, dzieci na wsi. Byłem w mieszkaniu zupełnie sam.

Ja: Co Pan wtedy robił?

On: Leżałem na tapczanie i obserwowałem sufit. Drobne pęknięcia w mojej wyobraźni układały się w pasma gór. Karpaty, Kordyliery, białe Himalaje szczelin.

Ja: I jeszcze co?

On: Niekiedy ktoś dzwonił do drzwi, musiałem wstawać i otwierać. Mówiłem, że nikogo nie ma w domu.

Ja: A Pan to nikt?

On: No, wie Pan, w pewnym sensie...

Ja: Co Pan wtedy jadał?

On: Szynkę, ementaler, musztardę, zawsze ktoś zapraszał mnie do mieszkania, w którym był stół, stół, że tak powiem, gotowy.

BERNARD SZTAJNERT

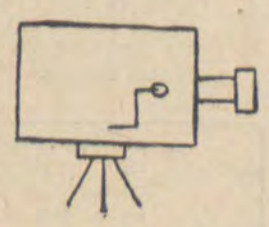

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

KTO SIĘ BOI NAGIEJ DZIEWCZYNY?

VENUS 70 — WŁAMYWACZE — SZTUKA CZY PORNOGRAFIA? — NAGOŚĆ PODEJRZANA — ZŁOTE MEDALE FIAP — TRZY TYSIĄCE FOTOGRAFII — CO PISAŁ BOY? — WSPÓŁCZESNA BARBARA UBRYK — MAMY WAŻNIEJSZE SPRAWY.

Pamiętamy, jaka fala zainteresowania nagością przewaliła się przez Polskę z okazji słynnej już (a może osławionej) wystawy „Venus 70". Ekspozycja fotograficznego aktu zbulwersowała najpierw krakowską opinię miejscowych dewotek — potem trochę pożartowano na łamach prasy, a wreszcie kilku panów włamało się do Salonu Fotografii Artystycznej, kradnąc co ciekawsze prace.

Zainteresowanie wystawą było olbrzymie, „publicity" było też znakomite, a i sama ekspozycja zasługiwała na uwagę nie tylko z uwagi na temat, ale i czysto artystyczną wartość prac. Nic więc dziwnego, że organizatorzy — Krakowskie Towarzystwo Fotograficzne — podjęli ryzyko następnej wystawy „Venus 71", a obecnie kończą przygotowania kolejnej, międzynarodowej już, imprezy fotograficznej pod tym samym hasłem.

Aliści rzecz się dzieje w Krakowie, więc ktoś powiedział „stop". Po co nam ta nagość, choćby ubrana (czy rozebrana) w otoczkę artystycznych poszukiwań i eksperymentów. Po co nam ten kłopot i ryzyko, że ktoś bez poczucia humoru zarzuci nam propagowanie pornografii.

Takim torem zapewne poszło rozumowanie dorosłych ludzi, którzy w sprawie wystawy „Venus 72" zajęli stanowisko bardzo dziecinne.

Otwarcie wystawy nastąpić ma 5 maja. Posiedzenie międzynarodowego jury wyznaczono na 17 i 18 kwietnia. Z całego świata nadesłano ponad 3 tysiące fotogramów, co już stanowi o randze imprezy. Zaangażowało się w jej organizację najpoważniejsze w świecie stowarzyszenie artystów-fotografików FIAP (Federation Internationale de L'Art Photographique), przekazując do dyspozycji jury „Venus 72" trzy złote medale FIAP, które są najwyższym w świecie wyróżnieniem za wybitne osiągnięcia na polu fotografiki.

Zreasumujmy: olbrzymie powodzenie, wysoki poziom ekspozycji, dobra prasa, 3 tysiące nadesłanych prac z 50 krajów, 3 złote medale FIAP... W tym stanie rzeczy „pewne lokalne czynniki krakowskie", jak piszą organizatorzy, „z uporem godnym lepszej sprawy usiłują nie dopuścić, aby salon „Venus 72" doszedł do skutku".

No, cóż, historia stara, jak... Kraków. Już przecież Boy-Żeleński pisał, jak to w czasie wojny w prowizorycznym szpitalu w jednym z krakowskich gmachów księżulo z młoteczkiem obtłukiwał co wstydliwsze części greckich rzeźb, aby się ranni i umierający żołnierze nie zgorszyli. Wokoło krew, ropiejące rany, śmierć — a tu ten człowieczek opętany obsesją swoiście pojętej „moralności".

To było w czasie pierwszej wojny światowej, a dziś, w kilkadziesiąt lat później, już nie księżulo, lecz urzędnik, opętany tą samą obsesją z zakrystii rodem, chce amputować Krakowowi wystawę niewinną jak elementarz w porównaniu z tą eksplozją seksu, która ogarnęła dzisiejszą obyczajowość.

Niedawno minęła niepostrzeżenie setna rocznica zamurowania w Krakowie niejakiej Barbary Ubryk. Krakowscy rajcowie znaleźli dziś godnego kandydata do zamurowania: jest nim „Venus 72". Dlaczego? Bo naga.

Nagość ciągle jeszcze przeraża i poraża naszych urzędników — pisze krakowski publicysta. Są oni jak braciszkowie zakonni, którzy dokonując rozlicznych kontroli w lokalu wystawy „Venus" trwożliwie spuszczają oczka i wołają „apage satanas!". Diabeł bowiem jest szczególnie niebezpieczny, kiedy przybiera postać pięknej kobiety i to w dodatku rozebranej. Wołają „apage satanas" i przyzywają na pomoc anioła. Anioł — jest to również piękna, młoda kobieta, tyle — że ubrana.

Braciszkowie zakonni, urzędujący w krakowskich gabinetach, radzi by pozawieszać przepaski na nagich dziewczynach. Czyż naprawdę w Krakowie nie mają większych problemów?

Na koniec analogia. Niedawno otwarto w łódzkim salonie ŁTF wystawę aktu. Jest to dobra, kulturalna wystawa, gromadzi wiele pięknych fotogramów. I jakoś nikt się na nią nie włamuje, nikomu nie przyszło do głowy protestować, nikt niczego nie zakazywał. Po prostu — jest jedną z wielu wystaw. Bez atmosfery skandalu. Dlaczego? Widać mamy w Łodzi parę spraw na głowie — nieco ważniejszych od fotografii nagiej dziewczyny.

JERZY WIDOK

RICHARD DEMING

Piękna Helena

Ulica była prawie pusta. Gdy wyszedłem z baru, zobaczyłem mężczyznę, który przechodził na drugą stronę ulicy. Wtem nadjechał zielony Buick, potrącił go błotnikiem i hamując uderzył w parkujące auto. Rozległ się trzask, Buick wahał się przez chwilę, a potem uciekł jak przestraszony królik.

Lecz ja zauważyłem wszystko, co należało zauważyć. Przy kierownicy siedziała piękna, czarnowłosa kobieta. Mężczyzna obok niej był znanym bogaczem i nierobem, dwa razy rozwiedzionym. Nazywał się Tim Cushman.

Zapamiętałem także numer tabliczki rejestracyjnej samochodu: X-245-87. Zanotowałem jednocześnie numer Forda potrąconego przez Buicka.

Ambulans zabrał rannego do szpitala. Jak się dowiedziałem od policjantów, nazywał się John Lischer.

* * *

W naszym mieście St. Louis zawód prywatnego detektywa nie jest zbyt dochodowy. Musiałem sam starać się, żeby coś zarobić. Następnego dnia dowiedziałem się w Urzędzie Motoryzacji, że tabliczka nr X-245-87 była zarejestrowana na nazwisko pani Heleny Powers, zamieszkałej w Lindell obok parku. Była to dzielnica milionerów.

O godzinie 14 pojechałem do Lindell. Otworzyła mi pokojówka.

— Chciałbym rozmawiać z panią Powers — rzekłem podając bilet wizytowy z nadrukiem: Bernard Calhoun, prywatny detektyw.

Pokojówka wzięła bilet i wróciła niedługo.

— Pani jest bardzo zajęta, czy pan ma ważną sprawę?

— Chodzi o wypadek samochodowy.

Dziewczyna zjawiła się prawie natychmiast. — Pani prosi.

Zaprowadziła mnie na werandę. Pani Powers opalała się w czerwonym kostiumie bikini. Poznałem kobietę z zielonego Buicka. Mogła mieć około trzydziestu lat. Na widok jej urody serce zabiło mi jak młotem. Lecz twarz kobiety wydała mi się zimna i bez wyrazu.

Uniosła się znad leżaka. — Jest pan bardzo wysoki.

— Metr i osiemdziesiąt siedem — odpowiedziałem.

— Chciał pan ze mną rozmawiać o wypadku samochodowym?

— Tak. Zielony Buick nr X-245-87. Zderzenie z Fordem należącym do pana Tafta. Buick potrącił mężczyznę i zwiał. Przejechany człowiek John Lischer znajduje się w szpitalu.

Zapanowała cisza.

— Rozumiem — rzekła kobieta.

— Wychodziłem z baru „Buco" i byłem jedynym świadkiem wypadku. Pani prowadziła samochód, obok kierownicy siedział Tim Cushman.

— Rozumiem. Czego pan chce ode mnie?

— Czy pani zgłosiła wypadek w policji?

— Nie.

— Co robi pani mąż?

— Jest prezesem Haver National Bank.

— Naturalnie nic nie wie o wypadku, gdyż zameldowałby o tym policji. Upłynęło już trzydzieści sześć godzin. Pani zaś boi się, żeby mąż nie dowiedział się, iż w chwili wypadku był w samochodzie Tim Cushman.

Kobieta nie odezwała się.

— Czy auto pani jest już naprawione?

— Jeszcze nie. Stoi w garażu. Mąż używa Packarda, więc nie zauważył zniszczenia. Przypuszczam, że na miejscu wypadku nie pozostawiłam żadnego śladu.

— Niestety! Policja znalazła na potrąconym Fordzie odłamki zielonego lakieru i kawałek błotnika. Na pewno rozesłała już po całym Stanie wiadomość o poszukiwaniu zielonego Buicka. Jak pani z tego wybrnie?

— Nie pomyślałam jeszcze o tym. A co mi pan radzi?

— Proszę powierzyć sprawę prywatnemu detektywowi.

— A jaki rodzaj usług może mi pan ofiarować?

— Zatają pani udział w wypadku i zajmę się reperacją Buicka. Czy mąż pani często wyjeżdża?

— W poniedziałek o godzinie osiemnastej leci samolotem do Nowego Jorku na zjazd bankierów. Pozostanie tam cały tydzień.

— Świetnie! W poniedziałek wieczorem zabiorę pani samochód. Jeszcze przed przyjazdem pana Powersa znajdzie się w garażu jak nowy.

— Jakie będzie pańskie honorarium?

— Pięć tysięcy dolarów.

— Jest pan detektywem dość drogim. Skąd wezmę taką sumę? Wszystko tu jest własnością męża.

— Mogłaby pani porozmawiać ze swym przyjacielem. Tim Cushman odziedziczył niedawno kilka milionów.

— Spróbuję...

Następnego dnia, czyli w czwartek, pojechałem do pani Powers. Opalała się znów na leżaku. Wstała i wyjęła z torebki plik banknotów. — Oto umówiona zapłata, pięć tysięcy dolarów.

Policzyłem pieniądze i schowałem do kieszeni.

— Co pan teraz planuje?

— Przede wszystkim muszę dowiedzieć się, w jakim stopniu policja interesuje się tym wypadkiem...

* * *

Porucznik Ben Simmons z Wydziału Zabójstw był moim przyjacielem. Ucieszył się, gdy mnie zobaczył.

— Co cię do mnie sprowadza? — zapytał.

— Nie mam pracy od kilku tygodni. Pomyślałem, że może u ciebie złowię jakiegoś klienta. Czy macie coś interesującego?

Opowiedział mi o kilku sprawach i wreszcie rzekł: We wtorek po północy jakieś auto przejechało mężczyznę niejakiego Johna Lischera. Przed godziną odebrałem telefon ze szpitala, iż zmarł.

Przeraziłem się. Jak dotąd moja interwencja w sprawie Heleny Powers mogła mnie narazić tylko na utratę licencji. Obecnie, z chwilą śmierci Lischera, stawałem się współwinnym przestępstwa, ponieważ nie zameldowałem policji tego, co wiedziałem. Helenie groziła kara do dziesięciu lat więzienia.

— Czy są jakieś dowody?

— Niewiele, lecz wystarczyło, żeby zidentyfikować samochód: zielony Buick.

Nie miałem tu już nic do roboty i pożegnałem się z porucznikiem.

* * *

W poniedziałek o godzinie 19 zatelefonowała Helena, aby mi powiedzieć, że mąż odleciał do Nowego Jorku i mogę zabrać się do reperacji samochodu.

Gdy przyjechałem tam po godzinie, otworzyła mi sama. Miała na sobie szary kostium, na podłodze stała walizka.

— Czy pani gdzieś się wybiera?

— Jadę z panem.

— Ależ będę w drodze prawie cały tydzień!

— Już wszystko ułożyłam. Pokojówka Alicja otrzymała tygodniowy urlop, myśli, że pojechałam do siostry.

— A jeżeli mąż zatelefonuje do domu?

— Nigdy nie telefonuje, przysyła mi tylko kartki, a ja nie odpowiadam.

Wziąłem nasze walizki, Helena zamknęła drzwi. W garażu poprosiłem o klucz od bagażnika. Podała mi. Próbowałem kilkakrotnie, lecz nie mogłem otworzyć.

— Widocznie zamek zepsuty — stwierdziła.

Umieściłem walizki na tylnym siedzeniu.

Jadąc pocieszałem się, że jest ciemno, że upłynęło już sześć dni od wypadku i tylko bardzo gorliwy policjant mógł jeszcze pamiętać pechowego Buicka. Wybrałem kierunek na Chicago, odległe o trzysta kilometrów od St. Louis.

Po drodze zatrzymaliśmy się dwa razy, aby podkraść benzynę z parkujących samochodów. Bałem się korzystać ze stacji benzynowych.

Była godzina 7, gdy znaleźliśmy się na przedmieściu Chicago. Zatrzymałem się przed ogłoszeniem: „Wynajmujemy samochody".

— Proszę tu zaczekać — rzekłem do Heleny. — Gdy pani zobaczy, że wracam innym wozem, proszę jechać za mną.

Wynająłem na tydzień Dodge'a zielonego koloru. Gdy wyjechaliśmy za miasto, zatrzymałem auto w mało uczęszczanej ulicy. Wymieniłem z Heleną nasze tabliczki rejestracyjne.

— Nie rozumiem, dlaczego pan to czyni? — zdziwiła się Helena.

— Teraz, gdy zaprowadzę panią Buicka do warsztatów reperacyjnych, będzie to wóz lokalny. Zmienimy się przy kierownicach, pani zajmie się Dodge'm Zatrzymamy się przy pierwszych napotkanych warsztatach.

Helena nie poruszyła się. — Najpierw poszukamy jakiegoś motelu. Muszę wykąpać się i odpocząć. Przejeżdżając tu kiedyś zauważyłam pewne miejsce, gdzie można się dobrze wyspać. Proszę jechać za mną.

Mijaliśmy po drodze dziesiątki moteli. Wreszcie Helena zatrzymała się przed placem ozdobionym wysokimi krzewami, wśród których stały kabiny wraz z boksami dla samochodów.

Właściciel zaprowadził nas do kabin. Były nowoczesne, czyste z dużymi łazienkami i wannami. Wynajęliśmy dwie kabiny na cały tydzień.

— Kosztują po dziewięć dolarów dziennie, lecz z obsługą drożej o jednego dolara — rzekł właściciel.

Helena zadziwiła mnie: oznajmiła, że sama będzie sprzątała.

Zaniosłem walizki do naszych kabin. Mieliśmy spotkać się za godzinę, po kąpieli.

Helena przebrana w jasną suknię wyglądała uroczo. Zamknęła swą kabinę i klucz schowała do torebki. Wzięła klucze od Dodge'a i udała się do Chicago, aby poczynić zakupy.

Ja prowadziłem Buicka. Zatrzymałem się przy pierwszej stacji obsługowej. Mechanik przyrzekł wykończyć naprawę samochodu w ciągu trzech dni.

Wracając taksówką do domu kupiłem cztery butelki whisky i sześć buteleczek sody. Helena już była w kabinie. Postanowiliśmy napić się przed kolacją.

— Pójdę do gospodarza — rzekłem — może mi odstąpi trochę lodu do naszego trunku.

Lecz właściciel odmówił, tłumacząc się, że posiada lód tylko na własne potrzeby.

— Może ja spróbuję go poprosić — rzekła Helena.

Po kilku minutach wróciła z porcelanowym kubkiem pełnym kawałków lodu. Wypiliśmy po szklaneczce whisky z sodą.

Na kolację pojechaliśmy do restauracji „Pod Białym Łabędziem". Grała orkiestra, tańczyliśmy i piliśmy do 2 nad ranem. Za każdym razem, gdy brałem Helenę w ramiona moja temperatura podnosiła się o kilka stopni.

Dokończenie nastąpi

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

- **M. WAWRZKIEWICZ — W Leningradzie i w Moskwie**
- **A. LEWASZKIEWICZ — Włamanie do literatury**
- **Z. ŻYGULSKI — W kręgu Karola Szymanowskiego**

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna

STEFAN PRAŻMOWSKI

Śmierć cwaniakom

Zdarzają się ludziom różne dziwne rzeczy, lecz historia, która przytrafiła się niedawno pewnej łodziance, jest mimo wszystko niecodzienna. Okazuje się, że zwykły przejazd taksówką może stać się powodem tragedii i poniżenia.

Kobieta śpieszyła się rankiem do pracy, więc wsiadła do taksówki, nr boczny 1380. Za kierownicą siedziała również dama. Jazda odbywała się w zupełnym milczeniu. Może to z powodu łagodnej zimy i zmiennego ciśnienia, a może z powodu pyłów i dymów, zatruwających łódzką atmosferę, albo ze względu na jakieś osobiste przeżycia w domu, właścicielka pojazdu emanowała tego dnia niechęcią do świata. Pasażerce zrobiło się w taksówce jakoś ciasno, czuła irytację tamtej kobiety. Kiedy wymieniła ulice, jakimi chce dojechać do celu, w taksówce zrobiło się już całkiem duszno.

Wysiadając przed biurem pasażerka odliczyła należność, jaką wystukał taksometr i położyła kwotę na przednim siedzeniu taksówki. Właścicielka pojazdu z dezaprobatą przyjęła tę dość powszechną, choć niezbyt elegancką formę zapłaty. Licznik wybił zaledwie 7,50 zł. Zapłata dokonana została bilonem w postaci: 5 zł, dwa razy po 1 zł i 50 gr. W sumie cztery monety. Ta drobiazgowość okaże się potem ważna. Monety pełnią tu rolę owego gwoździa w kryminale, na którym wiesza się w pierwszej części „Kobry" broń, która potem sama wypali.

Pasażerka podziękowała i szybko wysiadła. W tym momencie dramaturgia zdarzenia zaczyna narastać. Taksówka powoli towarzyszy naszej bohaterce, która nieoczekiwanie słyszy za sobą głos: „Złodziejka! Nie zapłaciła za przejazd!".

Pragnę przypomnieć, że akcja toczy się w pobliżu biura, do którego o tej porze tłumnie zdążają pracownicy, koleżanki i koledzy niefortunnej pasażerki. Przy odrobinie fantazji możemy sobie wyobrazić, co pomyśleli. „No, proszę, kto by się spodziewał, taka porządna babka, a przejazdy taksówką wyłudza. Jak to pozory mylą..."

Dalszy ciąg sceny rozegrał się w Stowarzyszeniu Prywatnych Taksówkarzy, gdzie wojownicza właścicielka pojazdu zawiozła rzekomą aferzystkę. „Aferzystka" na miejscu normalnie rozszlochała się w głos i słowa z siebie nie mogła wydobyć.

— Zachowałam się jak rozhisteryzowana idiotka w tym Stowarzyszeniu — opowiadała potem o sobie owa łodzianka. — Dawałam słowo honoru, przysięgałam, pokazywałam nawet, że mam pieniądze, a w końcu zażądałam satysfakcji i złożyłam skargę. Sympatyczne panie, które mnie tam przyjęły, chyba przekonałam o swej niewinności. Przynajmniej udawały, że mi wierzą. Właścicielka taksówki tymczasem wyszła z biura i oczekiwała mnie przed budynkiem. Czekała, ponieważ przyjechałyśmy tu podobno na mój koszt. Wpadłam jednak na pomysł, aby ktoś z pracowników Stowarzyszenia poszedł ze mną i przeszukał taksówkę. Może pieniądze upadły na podłogę i znajdują się w jakimś zakamarku. Tak też się stało. I proszę sobie wyobrazić, że faktycznie się znalazły te moje nieszczęsne 7,50 zł. Jest tylko jedno małe „ale". Znalazły się nie cztery monety, lecz trzy, w tym 5 zł, 2 zł i 50 gr.

W tym szaleństwie jest metoda. Metoda, która obezwładnia psychicznie ewentualną ofiarę w sposób kompletny i absolutny. Każdemu z nas może się to zdarzyć. Chciałem zwrócić uwagę Czytelników, że ta metoda stosowana jest coraz częściej i to nie tylko przez taksówkarzy. Jedna z kierowniczek sklepu w Łodzi zaskarżyła niedawno do sądu o zniesławienie kontrolera społecznego, który ją nakrył na oszustwie. Świadków, niestety, będzie miała, jako że zawsze znajdą się tacy, którzy spod lady otrzymują towary.

W każdym bądź razie zjawisko samo w sobie jest groźne. Cwaniacy z postawy obronnej przechodzą do ataku, czyli agresji prewencyjnej. Widocznie czują się coraz bardziej zagrożeni. O tym, że atak jest najlepszą formą obrony, ludzie uczciwi też wiedzą, lecz tylko cwaniacy robią z tego praktyczny użytek. Zawsze mnie zastanawiało, kto życzy tak źle, tak bardzo źle frajerom. Hasło „śmierć frajerom" brzmi przecież bardzo jednoznacznie. Chyba teraz już wiem, kto.

Redaguje zespół: Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Loboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł. kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy".
Druk.: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 816. D-4.